

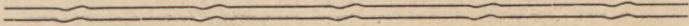
101

101

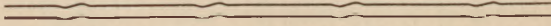
SKA

ESNI

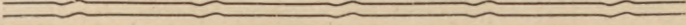
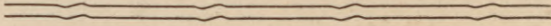




1938



Najmłodsza Polska ❁❁❁
❁❁❁❁❁❁❁❁❁❁❁❁❁ w Pieśni.





2722
ZYGMUNT RÓŻYCKI.

Najmłodsza
Polska
w Pieśni.

884-1-84
WARSZAWA

Nakładem Księgarni A. G. Dubowskiego

91. Marszałkowska 91.

1903.

22464

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Ноября 1902 года.



463159



Przedsieworąc ułożenie niniejszej antologii, pragnąłem przedewszystkiem dać wierny duchowy obraz najmłodszej Polski i przekonać społeczeństwo, które uczuwa dziwną nieufność względem wszystkiego, co „najnowsze,” że i pomiędzy najmłodszymi są indywidualności silne i talenty wybitne.

W wyborze moim nie rządziłem się względami żadnej partyi, i chociaż z pojęciem „młoda sztuka” łączy się u nas przeważnie pojęcie „modernizm” — w antologii niniejszej obok modernistów znaleźli miejsce i poeci, stojący po za wszelką szkołą.

W ogóle, o ile mi się zdaje, poezya powinna wykluczać wszelki kierunek — a wtedy będzie prawdziwą, czystą, nieskalaną.

Zarówno jak mogę się zachwycać poezjami Rydla, Dębickiego, Rygiera, dalekimi od modernizmu, tak samo mogę podziwiać poezye Micińskiego, Staffa i t. p.

Za jedyne przeto kryterium przy układaniu niniejszej książki służył mi talent poety i wartość artystyczna jego utworów; a kiedym zebrał wreszcie cały materiał — ogarnęło mnie zdumienie nad jego bogactwem, różnaitością i przepychem.

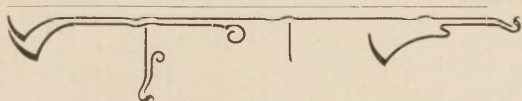
Zarzucają naszej najmłodszej poezji, że w pogoni za wykwintem formy zatracą głębię myślową; dość jest przeczytać uważnie niniejszą antologię, aby się przekonać, jak nieuzasadnionym jest podobny zarzut. Prawda — forma, jaką się posługują najmłodszy poeci, zaćmiewa nawet Asnyka, ale nie przeszkadza ona bynajmniej Wyspiańskiemu i wielu innym wyrzucać z swej duszy pieśni, ogarniających wszechbyty.

ZYGMUNT RÓŻYCKI.





UKOŁYSANA.



Powiew poranku po nocy marzenia
Coraz to tęskniej i pieści i chłodzi,
Coraz to cudniej zdrój szczęścia się spienia—
Coraz to słodziej, i słodziej, i słodziej...

Coraz to rzewniej czar do snu ją kłoni,
Coraz to mgliściej jej oko się mruży...
Coraz to tkliwiej drży uścisk jej dłoni —
Coraz to dłużej, i dłużej, i dłużej...

Coraz to bliżej — jej główka zmęczona
Coraz to śmielej na pierś mą się tuli,
Coraz to ufniej garnie się w ramiona,
Coraz to czulój, i czulój, i czulój...

Coraz to rzewniej, i tęskniej, i senniej,
Coraz to wolniej serduszko jej dyszy...
Coraz pogodniej, spokojniej, promienniej,
Coraz to ciszej, i ciszej, i ciszej.....





NASTRÓJ.



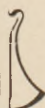
Na kwiatach połysk ros...
Tęsknotą dzwoni
Tajemnej harfy dźwięk, co w serce trąca.



Śni mi się drżący głos...
Śni gąszcz kwitnąca
Śniegami wisien i jabłoni...



Śni mi się złoty sen:
W ustroni
Pieszczota dłoni twej mdlejącej...



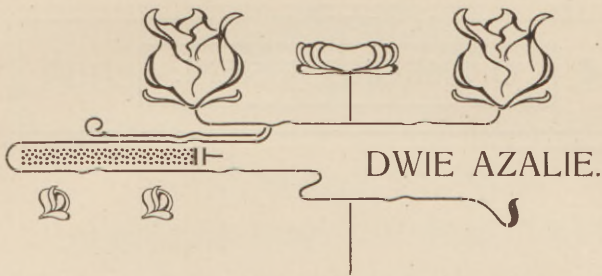
I blady uśmiech ten...
I brzask miesiąca
I senny pobłysk migotliwej toni...



Śni mi się jasny źródój...
Śni pełen woni
Miód kwiatu szczęścia, co aż w otchłań strąca...

I pocałunek twój —
Ta rosa drżąca
Najświeższej róży Hesperyjskich błoni...





Dwie azalie na siebie patrzą w rozmarzeniu, —
 Tej lica lśnią białością, tej rumieńcem płoną;
 Że nie mogą kwiecistą złączyć się koroną,
 Stoją ciche i smutne w tęsknoty omdleniu.

Lecz wzajemnie po słońca złocistym promieniu
 Barwiących sobie pyłków posyłają grono,
 Falą płynnego złota, co im muska łono,
 Łączą się te dwa kwiaty w wspólnem ubarwieniu.

A dwie dusze, miłości owładnięte siłą,
 Rozdzielone przez losy w tęsknocie i żalach,
 Żyją zamknięte w sobie — lecz tonąc w wspomnieniach,

W sferę duchów, nad wszystkich żądz ziemskich mogiłą,
 Ślą swe myśli na złotych wyobraźni falach,
 By zlać się gdzieś za światem w uroczych marzeniach.





O ZMROKU JESIENI.



Wszystko sobą upyla zmrok błękitno-szary,
A zachód jeszcze łuną pali się jaskrawie,
Co, jak róż na palcuie roztarty, na stawie
Się rumieni; szelestem wiatr trącił szuwały.

I uderzył w pierś boru pożółkłą; bór stary
Szepce psalmy. Tam z jękiem w dal lecą żórawie —
Jęk przeszył smutkiem przestrzeń i na nieba skrawie
Zamiera. Nad wodami majaczą opary —

Widmem śmierci. W naturze zaczęła się męka —
Zaraz dłoń jakaś całun na ów świat zarzuci,
Który śmierć ma na wieki wyrwać z istnień łona,

Znowu rozsieję kwiaty wiosny błoga ręką,
Znowu nadejdzie lato i jesień powróci,
Lecz z jesienią w naturze coś na zawsze kona.





ZAĆMIENIE SŁOŃCA
PODCZAS BOJU STAROŻYTNYCH.



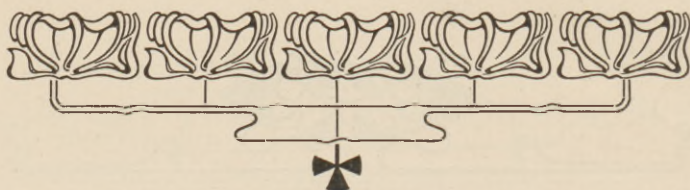
W bój ruszyły zastępy. Mężę, wozy, konie
Zbite w kłęb; strzały warczą, krew się w słońcu toczy;
Lwy spuszczone do skoku przymrużają oczy,
Pędzą, wznosząc trąb kłody, rozhukane słońie.

Nagle spelzł błękit niebios, tylko jak krew płonie
Słońce, wciąż bardziej krwawą posoką się broczy,
Jak bryła węgla zgasło, i noc wszystko mroczy.
Przez chwilę cisza zgrozy po tym słońca skonie, —

I krzyk z piersi tysięcy, straszliwe lwów ryki,
Huk, trzask, zamęt, skrzyp wozów, szcęk broni
[w popłochu,
Jęczy rozpacz w ciemnościach i strach zgryzta błady.

Mrok upada; w krwi widać stratowane szyki,
Tam pierzcha grzmiące morze zbitych ciał w mgłach
[prochu,
Tu, z oczyma w słup, zbladłych stoją wojsk gromady.





POGODA.



Rozwarły się chmur bramy; błękitów potoki
Zataczają ku ziemi coraz szersze kręgi.
Nadciąga złote słońce w mocach swej potęgi,
By rozproszyc dokoła niepogody mroki.

Pchnęło naprzód różowe i złote obłoki,
Rzuca na toń błękitów swoich blasków pręgi,
Piętrzy w przestrzeniach światła promieniste łęgi.
Od nieba powiał wietrzyk, rozwiał mgieł powłoki,

Spadł na niwy, pogody zwiastunem i gońcem,
I ziemia w skrach stanęła, cała złana słońcem.
Roje ptactwa szczebiotem do nieba się wdzięczą,

Krzewy radosnem drzeniem otrząsają rosy,
Kwiaty, wznosząc korony, tchną wonią w niebiosy;
A niebo w swoich głębiach rozśmiało się tęczą.



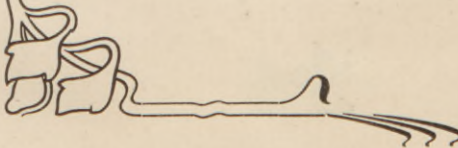


JESIENIĄ.



Słońce na łąkach mgłą otęcza
I blado-złote sypie skry,
Jak zwiewna biała nić pajęcza,
Jak biało-runne zwiewne mgły,
Z rozwianym włosom w pyłe złota,
Jak niewyśnione nigdy sny,
Polami błąka się tęsknota,
A słońce blade sypie skry.

Kwiaty rumieńcem bladym płoną,
Powiędłe liście lecą z drzew,
Po cichu, z twarzą osmęconą,
Jak białej śmierci cichy wiew,
Z rozwianym włosom w pyłe złota,
Jak rój zbłąkanych nocą mew,
Polami błąka się tęsknota,
A zwiędłe liście lecą z drzew . . .





SONET PASTELOWY.



Blask poświaty miesięcznej przez okien witraże
Srebrną smugą do komnat zamkowych się skrada,
Cisza święta... śnią gwiazdy na nieba obszarze...

W opalowej topieli śni księżniczka błada...

Na strunach księżycowych przez okien witraże
Płynie szlakiem łabędzim przesłodka kaskada...

Coś załkało... zadrżały mroczne korytarze...

W opalowej topieli śni księżniczka błada...

Cisza... z mgieł wypływają zapomniane twarze...

Cisza... kwieciami okwita drzew senna arkada...

W promieniach księżycowych tak dziwne miraże...

Cisza... z kwiatów omdlałych śnieżysty puch spada,

Coś załkało... przybladły tęcze witraże...

W opalowej topieli śni księżniczka błada...





TYTANY.



W podziemiu, wśród wichury iskier jasnozłotej,
W ognia krwawej purpurze i w błękitnym dymie,
Biją do wrót słonecznych przepotężne młoty
I ramiona się prężą potężne, olbrzymie...

W podziemiu wulkan dyszy, słup skier w górę bucha—
Lawa huczy — i pręży ramiona olbrzymie
Król-duch, Tytan potężny — mistyczny król ducha,
Tytan olbrzym, któremu Piękno jest na imię!...

Biją do wrót słonecznych i idą już dreszcze
Po ziemi, która leży w mgły spowita jeszcze
I w tęsknocie od wieków czeka na zaranie...

Ziemia czeka... Z otchłani wstań, dumny Tytanie!
Nowe słońca i gwiazdy rozpal na błękiecie
I górne daj nam życie!... Słoneczne daj życie!...



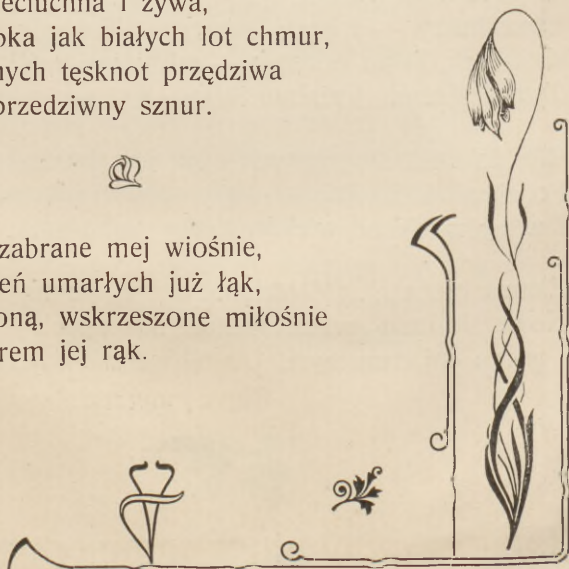
WYDANE
W WARSZAWIE
W 1880 ROKU



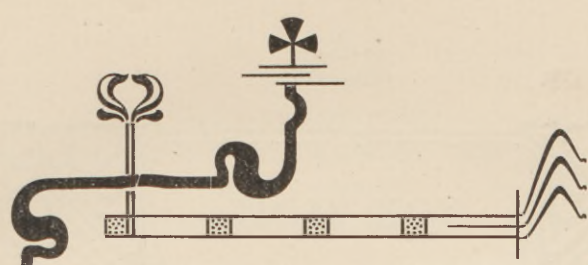
Jej ręka leciuchna i żywa,
Szybka jak białych lot chmur,
Układa mych tęsknot przędziwa
W przedziwny sznur.



I kwiaty zabrane mej wiosnie,
Zieleń umarłych już łąk,
Znów płoną, wskrzeszone miłością
Czarem jej rąk.



to



NIESZPORNE DZWONY.

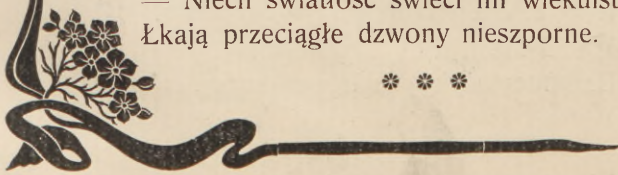
Łkają przeciągłe dzwony nieszporne,
 Prosząc o ciszę dla martwych dzielnic,
 W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
 Snują się zwolna mroki wieczorne.

Prosząc o ciszę dla martwych dzielnic,
 Dziwna tęsknota łka w mojem łonie,
 W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
 Mdlejących kwiatów snują się wonie.

Dziwna tęsknota łka w mojem łonie,
 Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
 Mdlejących kwiatów snują się wonie,
 Na trumnie wędną święcone palmy.

Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
 Oczy przysłania opona mglista,
 Na trumnie wędną święcone palmy —
 Niech światłość świeci jej wiekuista!

Oczy przysłania opona mglista,
 Kolana same gną się pokorne —
 — Niech światłość świeci im wiekuista! —
 Łkają przeciągłe dzwony nieszporne.





I.

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie rzeźka, srebrna, cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha.

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Wiatr-giermek szatę niesie zwiewną,
Z przędzywa mgły wieczornej tkaną,
Za swoją panią i królewską,
W cichy śpiew łąki zasłuchaną...

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie z giermkim swoim cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...



II.

Idzie, a przed nią srebrnolicy
Miesiąć swój krąg spokojnie toczy,
Idzie w zadumie i tęsknicy
Po niezmierzonej pól roztoczy...

Rosą dojrzałe kłosał poi,
Na pszenicznego pełen złota
Łan, co, czekając sierpa, stoi,
Z srebrnego sypie je rzeszota.

Idzie tak cicha przez równinę,
Wsluchana w pieśń dalekich borów,
Mija kwitnącą koniczynę,
Melancholijny smug ugorów...

Wchodzi na biały zagon gryki,
Dotyka maków śpiącą dłonią,
Świerszcze jej grają, a koniki
Coś za nią dzwonią, dzwonią, dzwonią...



III.

Idzie noc srebrna, zadumana,
Osnuta siecią mgieł pajęczą —
A przed nią boru czarna ściana,
Zamykająca świat obręczą...

A przed nią stare szumią drzewa,
Sosny srebrnieją od księżyca,
Ciepły już z dali wiatr zawiewa,
Pachnie jałowiec i żywica...

Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
Wkoło się jodły, modłac, chwieją,
Sosny zielone chylą głowy,
Czar tajemniczy idzie knieją . . .

Wśród drzew się mości droga złota
I noc przechodzi cicha po niej,
A za nią idzie w mgłach tęsknota
I świerszczów chór w oddali dzwoni . . .



IV.

Noc idzie cicha ponad rzeką,
Pomiędzy łożą i wikliną —
Miesiąc osrebrzył toń daleką,
Fale z tajemnym szeptem płyną . . .

Po brzegach trzciny lasy złocą,
Olbrzymich topól leżą kłody,
Na niebie ognie gwiazd migocą,
Wpatrzony w dno srebrzystej wody . . .

Na kępie kędyś w ciszy śpiewa
Żab rechocących chór dobrany —
Majestatycznie szumią drzewa,
Toczy się sennie nurt wiślany . . .

Noc idzie cicha ponad rzeką,
W wód się przegląda srebrnej toni,
A gdzieś na łące, hen, daleko,
Orkiestra świerszczów dzwoni, dzwoni . . .



V.

Przez mazowieckich pól przestrzenie
Noc idzie cicha, srebrno-biała,
Z daleka koni słycać rzenie,
Ognisko łuną krwawą pała . . .

Chłopców obsiadła je gromada, . .
Płynie fujarki tęskne brzmienie,
Cicho się noc posuwa błada
Przez nadwiślańskich łąk przestrzenie . . .

Spętane konie skubią trawę,
Płomień syczący krwawo błyska,
Dym poszedł smugą na Warszawę,
Chłopczy coś gwarzą u ogniska . . .

słycać z daleka rzenie koni,
Mgła się srebrzysta w polu błąka,
Orkiestra świerszczów dzwoni, dzwoni,
Echem jej biała wtórzy łąka . . .



VI.

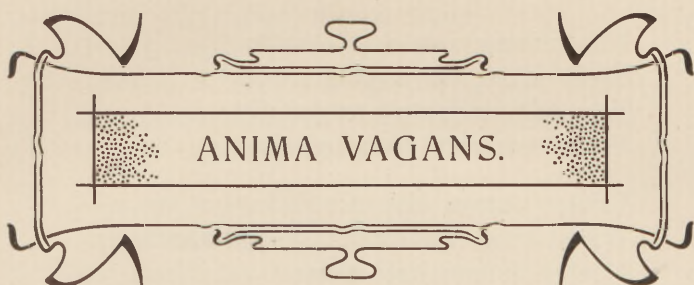
Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
Przez mazowiecką równię senną,
Balsamem śpiących łąk oddycha,
W dal idzie jasną i promienną . . .

I niesie z sobą ukojenie
I niesie z sobą zdroj pociechy
Przez mazowieckich pól przestrzenie,
Nad mazowieckie smutne strzechy . . .

Idzie noc srebrna, smętolica,
Na ukochaną patrzy ziemię,
Co przystrojona w blask księżycy
Po bólach dnia w śnie cichym drzemie . . .

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła . . .





I.

Morze się falą miękką wełni,
A nad niem księżyc świeci w pełni,
Gościniec moszcząc srebrno-złoty
Dla moich dumań i tęsknoty...

I po gościńcu tym odchodzi
W świetlistą oddal, co w powodzi
Mgły błękitnawej gdzieś majaczy —
Mój duch samotny i tułaczy...

Pełen zadumy i tęsknoty
Idzie przez szlak srebrzysto-złoty,
Idzie, od lilii polnych bladej,
I w niezmierną przestrzeń patrzy...

Za nim się morze ciche wełni,
A przed nim księżyc srebrny w pełni
I oddal jasna bez granicy,
Pełna bolesnej tajemnicy...



II.

Na szmaragdowe stepu morze,
Kiedy przedświtu błysną zorze,
Wychodzi duch mój smętnolicy,
Gnany wichrami swej tęsknicy . . .

I pełen dumań idzie słodkich
Wśród traw chwiejących się i wiotkich
I pełen dumań idzie cichy,
Białych narcyzów rwąc kielichy . . .

Idzie przez jary i bezdroża
Wśród zielonego trawy morza,
Jakaś go wiedzie moc anielska
Przez srebrniejące od ros zielska . . .

I pełne kwiatów mając dłonie,
W zadumie słodkiej duch mój tonie,
Przez nieznanym idąc drogi,
Od lęku wolny i od trwogi . . .

Aż kędyś staje u stóp krzyża
I smętne czoło swoje zniża,
Białych narcyzów kładąc pęki
Na symboliczne godło męki . . .



III.

W gotyckich świątyń smukłe nawy,
Gdzie od ołtarza poblask mgławy
Święcone lampy w pomrok sięją —
Czasami duch mój wchodzi nocą,
Tajemnych tęsknot gnany mocą
I swoją beznadzieją . . .

W półcieniu kruchty mrocznej siada,
Gdzie drży i kona lampa błada
U stóp rzeźbionej kropielnicy,
I patrząc w oczy Chrystusowe,
W zadumie swą pochyla głowę —
W zadumie i tęsknicy...

Zerwane w marzeń smętnym sadzie
Najbielsze lilie uczuć kładzie
Pod umęczone stopy Boże —
I w jakiejś dziwnej ciszy cały
Kłęka samotny i zbołały
U onych stóp w pokorze...

I tak w modlitwie niemej kłęczy,
Jak na mistycznej gdzieś przełęczy
Pomiędzy Wiarą a Nadzieją...
Cisza zalega smukłe nawy,
A dookoła poblask mgławy
Święcone lampy sięją...



IV.

W liliowe świty duch mój chodzi
Na gwiazdy patrzeć bledniejące,
Poranny wiatr mu czoło chłodzi,
Kiedy samotny, błędząc, chodzi,
Nim złote wszędzie słońce...

W liliowe świty duch mój kłęka
Przed wymarzoną w snach dziewicą...
Jakaś go biała wiedzie ręka
W miłości kraj, gdzie cicho kłęka
Przed świętą marzeń swych kaplicą...

W liliowe świty cisza dzwoni
W najgłębszych tajniach mego ducha,
Cisza liliowej niebios toni,
Która się zorzą pierwszą płoni,
A duch mój, w zorzę patrząc — słuca...

W liliowe świty falą złotą
Miłość mi w duszę jasność wlewa
I z snów mistycznych swych tęsknotą
Dusza ma schyla się z pieśczołą
Nad lilią białą — i omdlewa...



V.

W fioletowy zmierzch wieczoru
Wychodzi dusza potajemnie,
Wychodzi dusza moja ze mnie —
Śpiewnego słucać pieśni boru...

W fioletowy zmierzch wieczoru,
Zanim na niebie gwiazdy błysną,
A ponad ziemią mgły zawisną —
Idzie śpiewnego słucać boru...

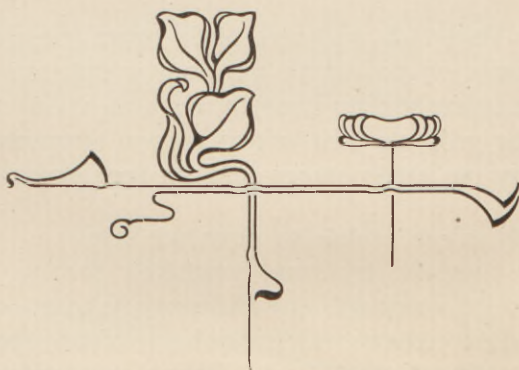
Po miękkim stąpa mchów dywanie,
Na obalone wchodzi kłody,
Słuca, jak szemrzą leśne wody,
I w jodeł patrzy zadumanie...

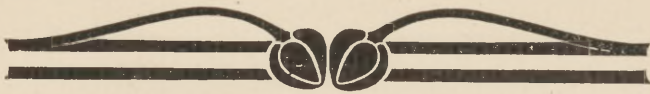
Między sosnami zabłąkana,
Chodzi w bezbrzeżnej swej tęsknocie,
Szerokolistne rwąc paprocie,
Na których rosa błyszczący szklana...

I zbiera wonne leśne zioła,
Balsamem słodkim ich oddycha
I siada potem dziwnie cicha
Wśród brzoź, co chwieją się dokoła...

Odchodzi od niej precz tęsknica,
W jakimś spokoju wielkim tonie —
Aż pierwsza gwiazda nie zapłonie,
Nie wszędzie srebrny krąg księżyca...

Wtedy powstaje..... po równinie
Błąka się sennej — hen, za borem —
I prowadzona świerszczy chórem
W błękitnej gdzieś oddali ginie...





POD WRAŻENIEM CISZY CMENTARNEJ.

Królestwo zmarłych. Groby ciągną się szeroko,
Dźwigając na swych grzbietach krzyże i kolumny,
Tu sterczy głazu kawał, tam sarkofag dumny
Podnosi się wspaniale i przygniata trumny,
Co snem ciężkim w objęciach ziemi śpią głęboko.

Opadłe brzoź gałęzie, schylając się nisko,
Szepcą umarłym jakieś tajemnicze słowa —
I każda brzoza stoi, niby smętna wdowa
Nad mogiłą, a ból swój w głębi łona chowa —
Ból, który wieczne obrał w jej duszy siedlisko.

Przez długie ich warkocze blada twarz miesiąca
Przygląda się posępnym mogiłom w milczeniu.
Strumień światła po zimnym ślizga się kamieniu —
I każdy grób się bieli w tym bladym strumieniu,
Srebrzy się każda brzoza, nad grobem stojąca.

Spokój zalega wielkie to umarłych leże,
Jakby wszystkie łzy swoje wypłakały brzozy.
Tylko dokoła mogił śpią ciche obozy:
Namiotem jest grób każdy, pełnym niemej grozy —
Lecz gdzie jest straż? Gdzie żołnierz, co obozów strzeże?

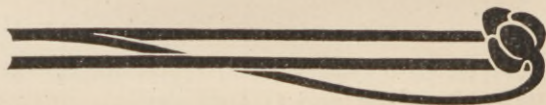
Niema straży? ... Bezpieczni! ... A co im po straży? ...
Śpią spokojnie po trudach ciężkiej z życiem wojny —
Lecz czy sen równie lekki mają jak spokojny,
Czy tej ciszy nie przerwie żaden pochód zbrojny,
Żaden sen już się w ciszy grobów nie wymarzy?

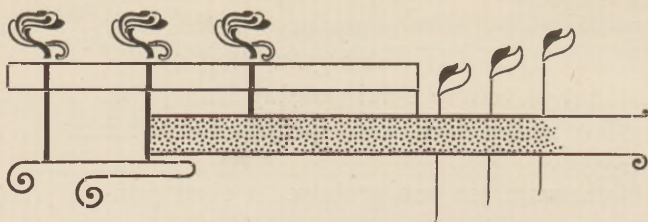
O, niech cię to milczenie pustką nie przeraża!
Tu są dźwięki, co łatwo pochwyci słuch pilny,
Z tysiąca ech złożony jakiś gwar mogilny,
Jakiś bunt przeciw śmierci potężny i silny —
Wszystko to jest w tej ciszy pozornej cmentarza!

Bo kłamstwem ten sen grobów, ta cisza ponura!
Próżno czas każdą szczerbą wyrok śmierci pisze:
Przeszłość każdego grobu, zaklęta w tę ciszę,
Wisi nad nim i zwolna w górze się kołysze,
Niby piorunów pełna, ciężka, groźna chmura!

Lecz niech tylko wiatr zadmie, poruszy to brzemię,
Uderzy o las krzyżów i wplącze się w gęsty
Mur gałęzi — a w słuch ci wpadną dzikie chrzęsty,
Gwary walk, mordy, — z nimi zmieszany jęk częsty —
Upiory czynów ludzkich znów zstąpią na ziemię!

Ze zgrzytem sztab łamanych groby się odkryją
I wyjdą, wyjdą wszyscy z mogilnych podwoi —
I usłyszysz szat szelest, zgrzyt stali, szcęk zbroi —
Cały obszar cmentarny tłumnie się zaroi,
Miliony wyjdą z grobu, wołając, że żyją!





MORZE i NIEBO.



Wśród ścian skalistych z wieżycami z lodu
I czarnych jodek, pnących się w podniebie,
Dwoje przepaści, z błękitnego rodu,
Niebo i Morze żyją naprost siebie.

Gdy nad wodami jasne Niebo wisi,
Tę samą jasność Morze przyobleka —
Oboje wielcy, błękitni i cisi,
Tak odbijają się w sobie z daleka.

A gdy dzień zgaśnie i noc je otoczy
Czarnymi gazy, które skróż rozpostrze,
Niebo otwiera gwiazdy, swoje oczy,
I topi w Morzu złotych spojrzeń ostrze.

Wzruszone Morze śpiewną pierś swą kładnie
Po tych ognistych wzroków pocałunki,
Wypalające mu pod falą na dnie
Niebieskich oczu żywe wizerunki.

Cicho... W pałacu Natury, jak w grobie,
Śpi wszystko... dwoje ich na świecie czuwa —
I ten wiatr, którym wzdychają ku sobie,
Z otchłani w otchłani między niemi fruwa.

Gdy po śnie krótkim ujrzą się o świcie:
Dwie zorze dwojgu rumienia jagody,
I słońca wschodzą: jedno na błękiecie,
A drugie słońce wstaje w głębi wody.

I dwa księżyce w lekkie marszczą karby
Obłoki Nieba i fal srebrne mory,
I gwiazd im dano równomierne skarby,
I zawsze jedne wdziewają kolory.

To są jak wielkie dwa mleczne opale,
To jak spławione z dyamentem irysy,
To jak bezbarwne dwu luster owale
Bez żadnej skazy, prócz obwodu rysy.

To bzy nibyto kwitną w ich kryształach,
To chmurki ciągną po nich arabeski,
To się w mgieł białe otulają szale,
Aż znów wybłyszczą: ten i ten niebieski.

Szczęśliwe Niebo i szczęśliwe Morze,
Ze swoich wodnych, z powietrznych pałacy
Widzą, przez całe rozdziału przestworze,
Że są błękitni, wielcy i jednacy!

Czemuż, pomimo takiej losu łaski,
Smutne bywają niekiedy ich twarze?
Niebo i Morze, zgasiwszy swe blaski,
Jak dwa bezbrzeżne szarzeją cmentarze?

Dlaczego nieraz z cichego obrazu
Przechodzą nagle w burz piekło ogniste?
Z nieba pioruny biją raz po raz,
Aż łzy się z niego poleją rześiste;

Te łzy padają na Morza oblicze,
Które się od nich zapieni, zakrzusi,
Lecz gdy wypije łzy, połknie gorycze,
To szafem Nieba zarazić się musi? . . .

Bo wnet zawyją na dnie wichrów głosy
I konwulsyjnym rzucają się kłębem,
Rażą ślepyimi wkoło siebie ciosy,
Niebo się spuszcza, Morze staje dębem.

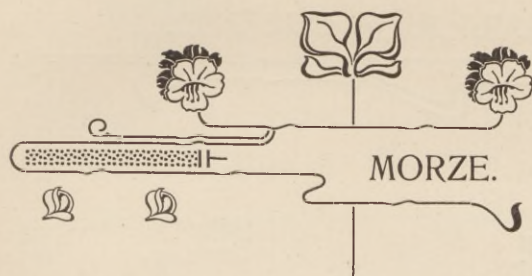
Skąd szal? skąd boleść? czemu te łzy cieką?
Czemu? . . . Widoczne powody rozpaczy:
Bo się kochają, a są tak daleko . . .
I tego żaden bóg nie przeinaczy.

Nigdy tych dwojga pobratymczych światów
Błękitne łono nie spocznie na łonie,
Nigdy ustami przezczystych bławatów
Nie ucałują się z Niebem wód tonie.

Nigdy, wspólnemi uniesieni ruchy,
Nie pójda razem, jak dwie złane rzeki,
Do wspólnych celów dążące ich duchy! . . .
Nigdy, i jeszcze raz: nigdy! . . . na wieki!

O! smutne prawo! Tak zawsze wybrani,
Którychby związek był boskością stworzeń,
Żyją na kresach dwóch wiecznych otchłani,
Co nigdy wiecznych nie zmieniają położeń.





Lubię w ciszę poranku patrzeć na bezmiary
Wód fiołkowych, strojnych w śnieżnej piany kwiaty,
Lubię w srebrne południe sięść u progu chaty
Rybackiej i wsłuchiwać się w fal ciche gwary.

Lubię w porze wieczornej płynąć przez obszary,
Kiedy słońce po falach rozsnuwa szkarłaty,
A nad niem obłok krwawy, jak anioł skrzydlaty,
Ogniem skrzydeł zapala na wodach pożary.

A gdy w nocie bezgwiezdne wicher miotać zacznie
Dziką otchłanią, kiedy morze na granity
Piersią skacze daremnie, gdy walczy rozpacznie,

Jak człowiek, co nadziei stracił złote świty, —
Smutek jakiś mnie dręczy, żal mnie jakiś kruszy —
Bo czuję, jak podobne jest do ludzkiej duszy.





UMAILI MI JĄ SLICZNIE...

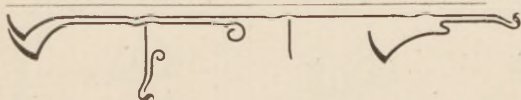


Umaili mi ją ślicznie,
 Jak wiosenkę w kwiaty,
I wynieśli powoleńku
 Z pochylonej chaty.
I wynieśli powoleńku
 Aż na cmentarzysko,
Gdzie się brzozy—hej! płaczące—
 Pochylają nisko.
Księżycowa nocka jasna
 Idzie po niem ciszą
I na drzewach i na kwiatkach
 Łzy serdeczne wiszą.
I wydarli mi jedyną
 Tę ptaszynę białą,
A mnie po niej—prócz żalości—
 Nic nie pozostało...





EVOE VITA!..  



Oto wraca w tryumfie jasny, zadumany
Zwiastun łąk kwietnych, zmartwychwstały w wonną
[ciszę —
Oto znów wokół żywy stujęczny hymn ów słyszę;
W górze łąka coś radośnie, jak ciche organy...

To bór śle rzewne modły do Pana nad pany:
Rozplakany żywicą rząd jodeł się kołysze —
Wiosna, hej! wiosna idzie w majestacie i pysze,
Pieśń jej srebrne krynice nuca na przemiany.

Białe mgły, wykapanie w jutrzni bladym złocie,
O siwy grzebień boru czeszą puch na swych runach
I lecą w martwe tłoki i zwiędłe paprocie.

I w płasach, w gwarze ptactwa, w poblaskach zórz
[i łunach
Niosą wieść o górnijszym, promienniejszym locie,
O szalach burz czerwonych i złocistych piorunach...





Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
 Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne,
 Pójdę pod białe, słońcem roześmiane chaty,
 Gdzie śnią urokiem ziela wybudane grzędy,
 Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy
 Mąci szalem radości ptactwa huf skrzydlaty —
 Tam w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony,
 Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu pieści,
 Sięde — śnieżną rozkoszą kwiecia upojony —
 I długich będę słuchoł jego opowieści,
 W duszy mej barwną rzeszą zjawią się ogromne
 Widzenia dawnych czasów... I może zapomnę...



BASŃ OKIEN.

Na sonej tafli okien, matowej, zamglonój,
Mróz-czarodziej wyrzeźbił niewidziane cuda:
Jakichś drzew fantastycznych tęczowe korony,
W których rozkwita bujnie srebrny kwiat Ułuda...

Cudna baśń flory, pełna szału i potęgi,
Snadź przesiana tu z jakiejś zaświatowej łąki,
Wije się symetrycznie w sinosrebrne wstęgi,
W przedziwne arabeski, wzory i koronki.

U góry na jedwabnych tkanin baldachimie,
Niby bladych witraży kontury naiwne,
Pełzają dziwnych krzewów łodygi olbrzymie,
Grupy palm egzotycznych przezroczyście, sztywne.

Jakieś ledwo widzialne, nieme perspektywy
Wyłaniają się z śnieżnej, nieskończonej bieli,
Jakieś dale ogłuchłe, obumarłe niwy,
Porosłe, zda się, smętnym czarem asfodeli.

Jakaś nuda bezbrzeżna, gdzie wszystko zamiera
I stygnie w dusz znużonych przeraźliwe łkanie,
Jak błada tajń przed wzrokiem tęsknot się otwiera
I czarem niesłuchanym woła je w otchłanie.

U dołu, zamrożony w kryształowe żary,
Stoi zwichrzonych jezior odmęt siwowłosa —
I śnią w swym białym bólu ciche nenufary,
Płoną modrą tęsknicą stubarwne lotosa . . .

A wokół przepych kwiecia: bladozłote tuje,
Śnieżne wizye irysów, chryzantemy senne —
Wszystko płacze się, kłębi, rozpręża i snuje,
Zakłęte w nikłych szronów kruszce drogocenne.

Po lśniących, sztywnych pędach, zwieszonych srebrzyście,
Przelatują atomy mieniącego puchu,
Czasem wiew nieuchwytny poruszy ich liście —
I niknie w niemej gąszczy, stojącej bez ruchu.

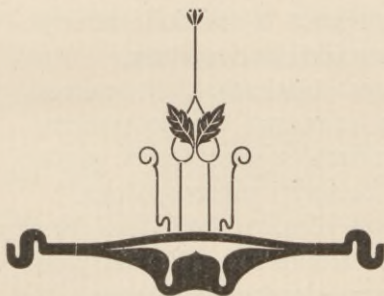
Cudna baśń flory, pełna szału i potęgi,
Snać przesiana tu z jakiejś zaświatowej łąki,
Wije się symetrycznie w sinobarwne wstęgi,
W przedziwne arabeski, wzory i koronki.

Od pól, co w roztajających śniegach szare mokną,
Mroczną, pustą aleją umarłych topoli,
Tajemnicze zjawisko posuwa się w okno:
Wiotka postać dziewczyny w blasków aureoli.

Posuwa się z przedziwnym na ustach uśmiechem
I ukradkiem do szyby przybliża się, staje —
I wionie w przepych kwiecia gorącym oddechem,
A szron dyamentowy pryska, blednie, taje.

Wnet śnieżna rzeźba kwiatu, srebrny cud pajęczy,
Rozpływa się, rozpierzcha, niknie . . . złotym blaskiem
Jeszcze raz załśni szyba, mignie łuna tęczy —
I szkło cichym, bolesnym odezwie się trzaskiem.

Jasne widmo dziewczyny, stojąc w oknie białem,
Patrzy z tryumfem w pianę, bladym lśniąca złotem,
I klaszcze w dłoń radośnie i chucha z zapalem,
I coraz promienniejszym śmieje się chichotem.





NA LAGUNACH.

Płyną fale z morza na laguny,
 Na niebiosa szary świt się wkrada,
 Wietrzyk trąca o mandolin struny
 I miłosne dzieje opowiada.
 W jasnych blaskach, cichej aureoli,
 Weszła jasna nad Wenecją zorza,
 Pó lagunach, w złotej swej gondoli,
 Płynie dumny i milczący doża.
 Przy nim córa, o prześlicznej twarzy,
 Smutnie dłonie swe różowe splata,
 O rycerzu ukochanym marzy,
 Co popłynął walczyć na kraj świata.
 Święta Łucya sprawi, dziewczę złote,
 Że twój rycerz z pod Lewantu wróci
 I ukoj duszy twej tęsknotę.
 Porzuć smutek — rozłąki nie skróci!
 Płyną fale z morza na laguny,
 Na wir toni zorza blaski składa,
 Wietrzyk trąca o mandolin struny —
 O Wenecyi dziwach opowiada...





SLUB.

Rok rocznie pan Wenecyi, dumny, możny doża,
Witając świadków rzesze podniosłemi słowy,
Zawierał związek ślubny z siną falą morza
I rzucał w tonie wielki pierścień brylantowy.
Z złotych stągwi perliste jagód czerpiąc wino,
Spełniał toast godowy w puharze z opali,
A potem, gromki okrzyk śląc nad wód głębiną,
Roztruhan drugi, złoty, niósł wybrance — fali.
„Falo, pomnij — powtarzał: — wieczna spółność czeka,
Ja miłość tobie daję, bądź wzajemną w darze,
Niech na ciebie me serce nigdy nie narzeka,
Tyś stróżem mego mienia, więc zatop korsarzel!“
Fala, widać, zakłęcia słuchała wzruszona,
Otwierając swe sine, miłosne ramiona,
Do stóp doży rzuciła się na doku brzegi.
Na brzegu stał w skupieniu tłum, z głową odkrytą,
Wraz zagrzmiął „*Viva mare e doge marito!*“
I salwy długo słały liczne dział szeregi.

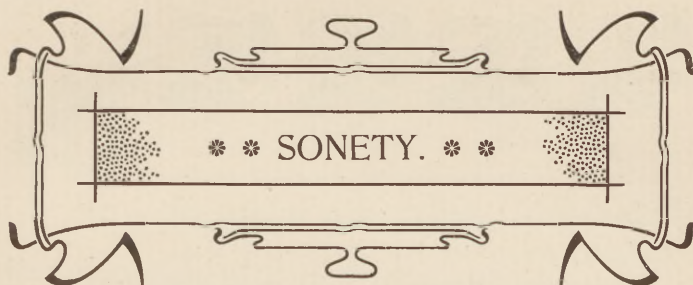




WENECYA.

By na wodne przestrzenie mieć drogę otwartą,
Dźwignąć ciebie z wód piany, Wenecyo bogata,
Z Adryatyku jasnego kęs łona wydarto —
I wstałaś piękna z morza, jak wielki cud świata . . .
Myśl ma białym gołębiem nad tobą ulata,
Nie tęsknię więc za Cyprem, ni za kwietną Małtą,
Patrzę, gdzie sztuki dzieło z przyrodą się brata,
Na łukach twych kościołów, marmurach Rialto.
Dzielni Padwy rycerze ojcami ci byli,
Kładli gmachów osnowy, z granitu wykute,
W niebios chmury dźwignęli szczyty *Kampanilli*,
Pod Lepanto stłumili Saracenów butę!
Owoce swych zdobyczy liczne dałaś światu,
Rządzona zbrojną dłonią świetnego senatu,
Męstwa, bogactw, mądrości dźwżyłaś swe berło!
Dziś okrył cień żałoby prastare twe mury,
Kampanilla runęła . . . Dźwigniesz ją do góry
I będziesz wiecznie cudną Adryatyku perłą!





I.

Dlaczego-m cię porzucił? Jakim snem omamion,
W beznadziejnie nużącej wędrówce żywota,
Odepchnąłem bluszczowe sploty twoich ramion
I poszedłem, gdzie ból mię czekał i tęsknota?

Odrąciłem cię dumnie, bez słowa — bez słowa,
I zaparłem do krain swego szczęścia wrota,
I tam wleciałem duchem, gdzie wicher się szamota,
Gdzie grzmi złowrogich gromów płomienna rozmowa.

Zduśliłem w sobie czucie, myśl, każde pragnienie,
Co mi rwało na strzępy serce, męką krwawą —
I nakazałem ustom i sercu milczenie . . .

A dziś duchem w dalekie wybiegam przestrzenie —
I chciałbym cofnąć w przeszłość losów moich nawę
I wzniecić w piersi znowu dawnych uczuć lawę.





II.

Wiem — już niedługo sny czarne porzucę,
W pustkę wieczności idąc bezkresową.
Lecz nie chcę w przeszłość powracać na nowo —
Chociaż mi smutno, że już tam nie wrócę.

Kiedy życiowa skończy się pokuta —
Dusza, ziemskiego próżna już pragnienia,
Na jasnych skrzydłach cichego marzenia
Popłynie w bezmiar, mgłą smętku osnuta.

Nie wiem, czy w górze — za ziemską doliną —
Wszystkie żywota łąy i troski giną
Gdzieś w oceanie głuchym niepamięci, —

Lecz zdaje mi się, że trwa z dawną siłą
Tu — przed mogiłą i tam — za mogiłą
Wszystko, co w życiu duszę ludzką smęci.





Nie — nie szkoda tych kwiatów, które wędną
[w ustroni,
Ale szkoda tych, które nie wylały swej woni.

Nie — nie szkoda tych uczuć, które młodość
[roztrwoni,
Ale szkoda tej próżni, co miłości się broni.

Nie — nie szkoda męznego, choć miecz w pochwie
schowany,
Ale szkoda nędznika, który boi się rany.

Nie — i serca nie szkoda, które ginie z otrucia,
Ale szkoda serc niskich, co nie znają współczucia.



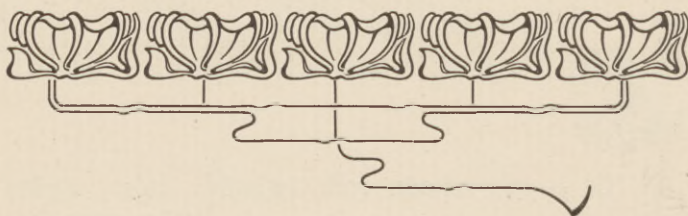
ASTARTE.

Do twojej świątyni biegnę, o! krwawa Astarte!
Gdzie progów drzwi bronzowa tarcza strzeże
[wiernie,

Tympany na kolumnach z porfiru oparte,
Na lśniącym czole fryzu bazaltowe ciernie.

Tobie ofiary moje składam, o! Astarte!
Wieńcem czerwonych maków umaiwszy głowę,
Różgami twych kapłanek ciało me podarte
Niosę—spragniony nowych mąk—pod różgi nowe.





COLOMBINA.



Uśmiechnięta, różowa, lekka Colombina
Natrętów ma bez liku. Najgorszy niecnota
To skrzypek, co ją całą w nić melodyi mota —
Nic mu pięści Pierrota, żarty Arlekina.

Inaczej sobie mądry alchemik poczyna —
Raz wraz przegarnia przed jej okiem kupy złota;
Lecz ona nie dba o nich! Ona chce Pierrota!
Czarująca, rozkoszna, lekka Colombina.

Życie ludzkie—to także Comedia del'arte:
I w niem gra serce skrzypka boleśnie rozdarte,
I w niem alchemik próżno złotem się opłaca, —

Ta, która obietnicą szczęścia dusze budzi,
Przechodzi obojętnie, szyderczo wśród ludzi,
Aby słodko utonąć w objęciach... pajaca.





MIŁOŚĆ.



Czasem miłość jest rajsą chwilą upojenia,
Która przynosi więcej, niż śniły marzenia,
I przez dzień jeden serce roztapia w błękanie.

A czasem jest straszliwą, groźną nawałnicą,
Która, noc rozświetliwszy pierwszą błyskawicą,
Pierwszym zaraz piorunem niszczy ludzkie życie.

Czasem miłość jest słodka, i mocna i święta,
Na której założywszy szczęścia fundamenta,
Przejdiesz przez życie jakby przez majowe łąki.

A czasem jest zawzięta i nieprześlądana,
Jako nieuleczalna, krwawiąca się rana,
Która życie pożera, a śmierci nie daje.



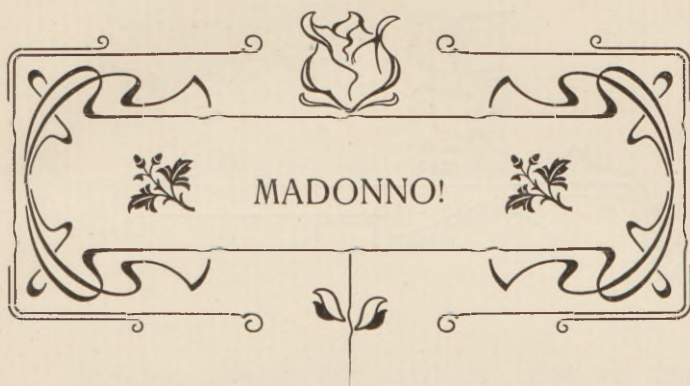


MELODYA ZMIERZCHU.



Czemuż, o! czemuż w godzinę wieczora
Na skrzydłach zmierzchu tęsknota przylata?
Czemuż tak smutno wtedy — i myśl chora
Do nieznanego wrywa się świata?
Mnie się wydaje, że w ową tajemną
Zmierzchów godzinę źrenice rozwarte,
W księgę przeszłości zapatrzone ciemną,
Niejedną życia przebiegają kartę;
I duch w minione wracając koleje,
Łzą żegna każdą rozwianą nadzieję
I nad popiołem wpółwygasłych zniczy
Z boleścią własne spustoszenia liczy.
I cisza wtedy . . . lecz tej ciszy skrytość
Ma w sobie jęki, lecące w przestrzenie,
Do bram wieczności — i jest w owej ciszy
Milcząca skarga, którą Pan Bóg słyszy,
I jest ogromne światów zamyślenie
I jakaś wielka u aniołów litość,
Gdy dusze, zmierzchów okryte żalobą,
Lecą w kraj wspomnień, by płakać nad sobą.



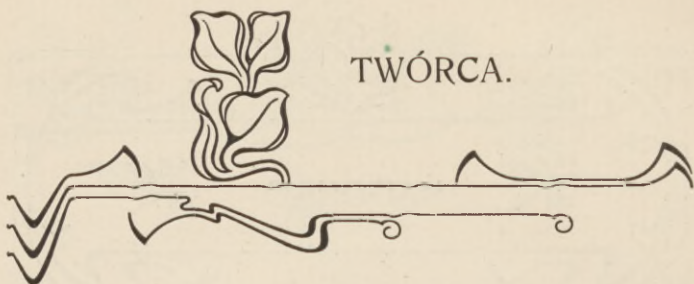


Na Anioł-Pański brzmia dzwony z kościoła,
„Ave Maria” płynie z mgłą przegonną,
Słyszać w powietrzu lot Twego anioła:
— Madonno! Madonno!

Do Twego tronu pieśń pochwalna leci
Z szeptem pacierzy, z mgłą kadzideł wonną,
O zmiłowanie łka tłum Twoich dzieci:
— Madonno! Madonno!

Chciałbym raz jeszcze dawną wiarą ożyć,
Serce Ci odkryć w godzinę przedzgonną,
Jeszcze u stóp Twych krzyżem się położyć,
— Madonno! Madonno!





TWÓRCA.

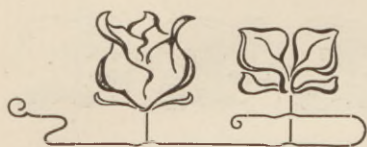
Jam jest żądza, co dyszy pod mgławic ogromem,
Płomiennymi palcami tworzę bryły światów
I najskrytszych pożądań tchnieniem nieświadomem
Wyrzucam łąk szmaragdy i rubiny kwiatów.


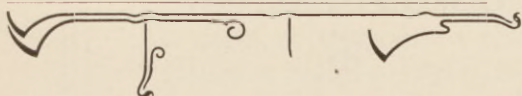

I rzeźbię kształt człowieka i rozbijam gromem,
Gaszę dzikie pragnienia krwią jego stygmatów;
I pastwiąc się bez końca nad ciałem znikomem,
Mieczem błyskam i trony odzieram z szkarłatów.

Jam jest siła, co tworzy i niszczy wszechwładnie,
Najtajniejszej spowiedzi wszechstworzenia słucham,
Bez mej woli z gwiazd żadna z błękitów nie spadnie.

Wieki płyną — ja wiecznie nowym żarem bucham,
A mędrzec tego świata ni prorok nie zgadnie,
Jakie z jednej iskierki pożary rozdmucham.





DIES IRAE.  

Z przepastnych głębin nieba wyszedł olbrzym-bóg,
I rzucając garściami piorunowe snopy,
W druzgocącym pochodzie pruł błękitne stropy
I staczał złote słońca z wiecznokrężnych dróg.

Oszalałe obłędem przedśmiertelnych trwóg,
Rozzochrane komety rwał pod swoje stopy
I przez gwiazd potrzaskanych spiętrzone okopy
W majestacie zniszczenia leciał olbrzym-bóg.

A gdy otchłań błękitów przebiegnął do końca,
Na dymiących się żuźlach osadził swój krok —
I odetchnął, spokojny, że wszechświat już nie żył.

I obrazem zniszczenia chcąc upoić wzrok,
Odwrócił się... a lęk mu źrenice rozszerzył —
Bo oto szły ku niemu zmartwychwstałe słońca.





OGRÓD ZAKŁĘTY.



Tak mi mówili aniołowie,
 Co znają prawdę, skrytą w słowie,
 Ze tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
 Brzegi wieczności się zielenią,
 Przedarłszy czasu mdłe osłony,
 Wzgórzami tęsknot otoczony,
 Zakwita ogród niezbadany,
 Zaczarowany, obłąkany —
 Zaczarowany skonem zorzy
 I obłąkany mgłą bezdroży!

Więc, wizją skrzydeł spromieniony,
 Szedłem w cudowne owe strony,
 Poprzez stężałych snów urwiska,
 Przez dawnych bytów uroczyska,
 I nieraz w dzikiej swej podróży
 Spotkałem widma białych róży,
 I mary lilij, co w przestworze
 Na widziadlanem tkwią jeziorze.
 I spotykałem śród rozdołów
 Omszone zwłoki tych aniołów,
 Których Bóg strącił w te bezdenie
 Za potępieńcze serc płomienie . . .
 I spotykałem sennie kraje,
 Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,



Gdzie się kołysze w mgieł odměcie
 Dziwaczny okręć przy okręcie,
 A melancholii słodkie fale
 Przez ich pokłady mkną niedbale
 I w bezpowrotne płyną dale!...



Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
 Jakiegoś Boga mając w oku,
 Z duszą na wschodzie i zachodzie,
 Stańałem błądy w tym ogrodzie!
 Tam każde drzewo jest zakłete,
 Tam są topole wniebowzięte,
 Kaskady drętwe, w snach skąpane,
 Mocą obłędów sfałdowane,
 I takich jezior tonie sine,
 Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
 Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła,
 By twarz ci nagle nie pobladała,
 Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła.



Pod jednym drzewem niezbadanem,
 Zaczarowanem, obłąkanem,
 Gdzie każdy liść od marzeń kona,
 Nawpół stworzona, wpół wyśniona,
 Królewna cudna odpoczywa!
 Z skroni jej warkocz wonny spływa,
 Spływa i wpływa w alej głębie,
 Zwisa na każdej skały zrębie,
 Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
 Jak czarodziejskie jakieś ziele,
 A w górze — srebrem pałająca,
 Niewyczerpana głąb' miesiąca!

Mów mi, królewno moja blada,
 W jaki się mrok twój sen zapada?
 I z jakich stron twych oczu dale?
 I z jakich mórż twych warg korale?





I z jakich piekieł twe warkocze,
 Po których drżący teraz krocze?
 I mów mi, w jaką wiodą stronę
 Warkocze twoje nieskończone —
 Bo mię na wiek, na wiek już cały
 Warkocze twoje opętały!

Ach! idźcie wszyscy, idźcie ze mną,
 Ku niej — w krainę ponadziemną,
 Lecz nie pytajcie mnie (o Boże!
 I któż mnie spytać o to może!),
 Gdzie jest ten ogród, gdzie te świąty,
 Do których wszystkie tęsknią kwiaty,
 I wszystkie dusze, snem ozdobne,
 Co są do kwiatów tak podobne!
 I skąd ta powieść moja rzewna?
 I czem jest cudna ta królewna?
 Bo, choć mi serce rozpłomienia,
 Już nie pamiętam jej imienia!
 I choć mi zawsze taka blizka,
 Już nie pamiętam jej nazwiska!

Lecz wiem, że ogród ten istnieje,
 Że tai straszne jakieś dzieje,
 Ach! dzieje straszne, niezbadane,
 Zaczarowane, obłąkane —
 Bo mi mówili aniołowie,
 Co znają prawdę, skrytą w słowie,
 Że tam, gdzie wisząc nad przestrzenią,
 Brzegi wieczności się zielenią,
 Przedarłszy czasu mdłe osłony,
 Wzgórzami tęsknot otoczony,
 Zakwita ogród niezbadany,
 Zaczarowany, obłąkany!
 Zaczarowany skonem zorzy
 I obłąkany mgłą bezdroży!





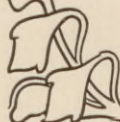
KŁADŁ SIĘ
ZŁOTY PROMIEŃ SŁOŃCA...

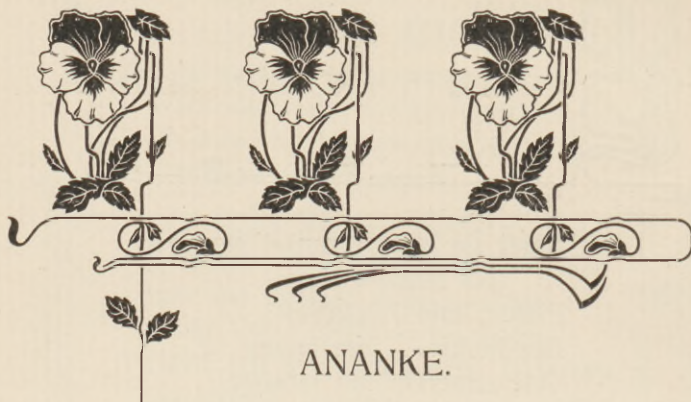
Kładł się złoty promień słońca
Na złociste łany:
Pieścił, tulił i całował
Bez końca... bez końca...
One szmerem mu mówiły:
Kochany, kochany!

Kładł się złoty promień słońca
Na świerki, na sosny:
Pieścił, tulił i całował
Bez końca... bez końca...
Bór mu śpiewał tęskne dumki —
Szczęśliw i radosny.

Kładł się złoty promień słońca
Na lilie, na róże...
Pieścił, tulił i całował
Bez końca... bez końca...
One woń swą posyłały
Ku słońcu, ku górze!

Kładł się złoty promień słońca
Na głowę dziewczyny:
Pieścił, tulił i całował
Bez końca... bez końca...
A do słońca pieśń leciała:
Jedyny, jedyny!





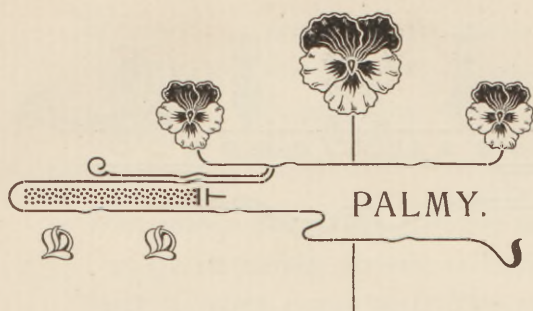
ANANKE.



Gwiazdy wydały nade mną sąd:
— Wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd!
Ty, budowniku nadgwiezdnych wież,
Będziesz się tułał, jak dziki zwierz,
Zapadnie każdy pod tobą ład —
Wśród ognia zmarzniesz — stlisz się jak lont.

A gwiazdom odparł królewski duch:
— Wam przeznaczono okrężny ruch,
Mojej wolności dowodem błąd,
Serce me dźwiga w głębinach ład.
Poszumy płaczą mogiłnych drzew,
Lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja, budowniczy nadgwiezdnych miast,
Szydę z rozpaczy gasnących gwiazd.





Widzę w twych oczach ciemne morza tonie
 I szafir nieba, co się w nich przegląda —
 Rozkosz otchłani, która śmiercią zionie,
 Ciszę bezmiarów których się pożąda.

Lub mi się zdaje, że to leśne głusze,
 W podzwrotnikowym słońcu gorejące,
 A w głębi zimne, strojne w pióropusze
 Tęczowych kwiatów, a od lian ginące.

Tak się w mej duszy mieniają twoje oczy,
 Że nic trwałego w nich, prócz tajemnicy—
 I próżno pytam, czy mnie do świątnicy
 Ten sfinks prowadzi, czy pustych roztoczy,
 Gdzie palmy wędną na słonecznym skwarze
 I tak do rajów podobne miraże.





NIOSEŃ CI DUSZĘ!...



Czemu Twe oczy zasnuły mgły szare,
Czemu w nich gasną natchnień złote błyski,
I czemu tracisz nadzieję i wiarę —
Gdyś celu bliżki? ...

Patrz! ... wiosna idzie ... w pąki stroi drzewa,
Na krzakach błyszczą kwietne pióropusze —
A we mnie zrywa się coś — i omdlewa ...
Niosę Ci duszę! ...

Rozjaśnij czoło! ... Przed nami świat cały!
Mam siły, zapał i zdobyć go muszę!
W sercu mem wiosna wydzwania hejnały ...
Niosę Ci duszę! ...

Słońce z błękitów rzuca strzały złote
I płonie na kształt wieczystego znicza ...
Słyszysz? ... wszak Twoją ukoj ęsknotę
Piosnka słowicza? ...

Słyszysz? . . . Spiew biegnie daleko — po rosie,
A w nim miłosne zachwyty, katusze . . .
Słyszysz? . . . to samo drży w słowika głosie . . .
Niosę Ci duszę!

Więc zdepcz zwątpienie, co trawi Ci ducha —
I spójrz na ziemię, jak lśni w blaskach tęczy . . .
Niech w hymn natury serce Twe się wsłucha,
Co wokół dźwięczy.

Jestem w dziwnego przełomu godzinie,
W jakiejś ekstazie i mistycznej skrusze . . .
A z ust mych drżących nieśmiały szept płynie:
Niosę Ci duszę! . . .





SPOKÓJ.



I.

Śród cyprysów, posępnie strzelających w górę,
Na stoku wzgórza, w łące z anemonów litój,
Walały się prastare grobowcowe płyty,
Szare, we mchy odziane, niby w owczą skórę.

Na nich zwietrzałe twarze, spokojem ponure,
Pod nimi legły groźnych bohaterów ciała,
Niewzruszone, choć burza nad ziemią leciała
I gromów zygzakami w strzępy darła chmurę.

Lecz cmentarz nie był wyspą bezludną na świecie:
Przechodząc drogą, pielgrzym obrał w nim mieszkanie,
Chodził nago, spał w cieniu, lub grzał ciało w słońcu.

W nocy z kamiennych twarzy czerpał przy miesiącu
Spokój, albo trawiaste z nich wypełzał śmiecie
I łątał gruz w grobowiec, skracając czekanie.





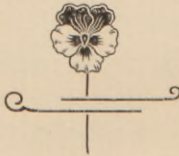
II.

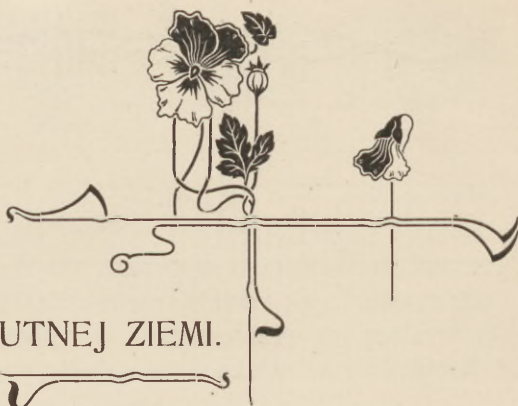
Czasami myśl potężna w głowie mu się rodzi
I pędzi w dal, jak wielkie, rozhukane konie,
Co przelecą jak orkan, znikną w nieboskłonie,
A kopyt ślad po wiekach jeszcze się znachodzi.

Wrywa głazy z ziemi, w mury niemi godzi,
Że dyskobolem niegdyś był pierwszym — wspomina,
Dumny z giętkiego ciała, jak naga dziewczyna,
Powracać chce do żywych, z cmentarza wychodzi.

Lecz przed bramą w zadumie zatrzymuje kroki:
To kamiennego żal mu spokoju cmentarza,
To chciałby bratnie duchy wyrwać z pod opoki,

By z nimi iść! Po chwili znowu w bramę biegnie —
Wracać w służbę do ludzi sam się nie odważa...
Więc żyjąc w państwie grobów, czeka, aż w nim legnie.





Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI.

Na łąki, pola i ugory skalne
Białością spływa cisza południowa;
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wieszają ramiona upalne
I w cieniu jodeł skroń gorącą chowa —
Znieruchomiały jałowce i krzewy,
Ucichły stare, szeleszczące osty,
Trawy bez szeptów rosną — zda się: czują
Tę białą ciszę, idącą po ziemi...
Jeno pajęczki muszki ówdzie snują
Szarańczę życia — i, wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy
Kładąc, nie wiedząc, że jutro, czy przedzój,
Deszcz je zatopi może razem z niemi.

Na łąki, pola i łoki skaliste
Płynię za ciszą spokój nieprzerwany,
Jakiś od mogił milczenie wieczyste,
Żałość błękitna, żal w niej zakochany

I dziwnie rzewne jakieś zadumanie
 Idą po ziemi i na każdym łąnie
 Siadają spocząc, jak spoczywa starość
 Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie,
 Nic—jeno martwa i milcząca szarość,
 Nic—jeno pustka wielka, nieskończona,
 Z oczodołami utkwionymi w niebie.
 Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona
 Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
 W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce świeci.

Na łąki, pola i puste zagony
 Płyną za białą południową ciszą
 Umarłe pieśni... Ludzie ich nie słyszą,
 Nie wiedzą o nich... a przedziwne tony
 Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
 Jak pieszczotliwy szept dziecka przy łożu
 Umierającej matki... Gdzie doleczą,
 Tam łyzy, po liściach spadając, zaświecą,
 I lekkie w ziemi skryją się westchnienia —
 Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
 Przechodzą polem... Kołyszą się liście
 Traw i włosiste pochyła się zboże,
 Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
 I włosy chciało słać pod stopy Boże...

Wśród łąnów sennych i sennych ugorów,
 Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej —
 Jakby dalekich zaświatów zjawisko,
 Na kształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bezcielesnej,
 W otęczy sino-błękitnych kolorów,
 Przepływającej ponad ziemią nisko —

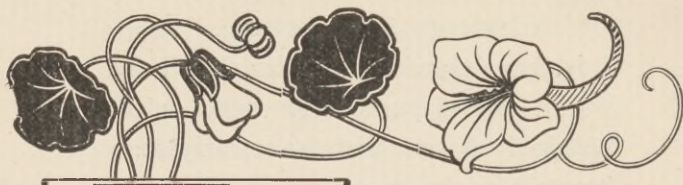
Widnieje w słońcu przezroczyście biała
Postać Chrystusa . . . Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.
Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił —
Tak Syn Człowieczy schodzi na kurhany,
Na groby, które pył wieku osłonił,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzoź, jodeł i sosen,
Gdzie głóg się rodzi i owies zieleni,
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.
Schodzi na pustki, ugory i niże,
Z wielką białością południowej ciszy,
Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,
Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.

I po tej ziemi idzie przez pustkowie
Martwe w dal jakąś nieskończenie wielką,
Za którą leży mrok . . . Na złotej głowie
Łza Matki Jego zastygła kropelką
I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.
Włosy wiatr mąci . . . Od każdego włosa
Smugi się złote na ramionach kładą;
Bładoróżowe z nich padają zorze
Na twarz bolesną, wychudłą i bladą,
I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci
Białe, na liściach rozwieszono płótno.
Oczy anielskie, z których błyszczy morze
Łez i jezioro nadludzkiej dobroci —
Patrzą w bezkresną dal bezmiernie smutno . . .

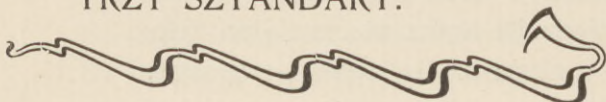
Rzędem jałowce zasepione siedzą
I ośniedziałe zboże się kołysze,
Gdy Syn Człowieczy, znędzniały i bosi,
Wśród głuchej pustki idzie wążką miedzą.
Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
Jak siny obłok przez powietrze leci;
Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
I z niemą prośbą wyciąga swą szyję.
Ból się w jałowcach poza cienie kryje,
Lecz jęk zalata hen i ogień świeci,
Jak fosforyczne próchno, w jego oku!
A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
I ręce łamie nad głową i wyje,
Jak zawierucha pól w zaduszne noce.

Za odchodzącym w dal wołają: „Chryste!”
I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
Tam — gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
Gdzie się poczyna Pustka nieskończona! . . .





TRZY SZTANDARY.

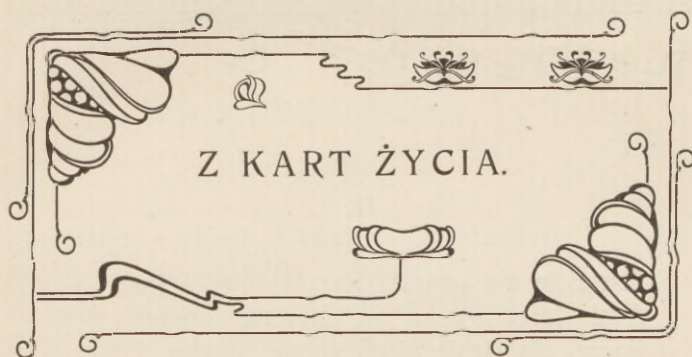


Ponad ziemią się unoszą trzy wielkie sztandary:
Jeden jasny — srebrnolity — symbol naszej wiary,
Ten świetlany, niezmazany, złotym krzyżem błyska,
Niebosiężny — z ziemią sprzężny, jako tęcz zjawiska.

Drugi błysnie, zamigoce, jak majak w zawiei,
Zaszeleści, duch upieści, — to sztandar nadziei,
Strojny w barwy szmaragdowe, jakby w ruń wiosenną,
Rozwesela ludzką dolę, smętkami brzemienną.

A ten trzeci, purpurowy, z krwi serdecznej tkany,
Ten miłosny, ten radosny, ten z szczęściem zbratany,
On nas uczy kochać życie, w czyn zamieniać mary —
A więc patrzmy w dal promienną, w trzy wielkie sztandary.





I.

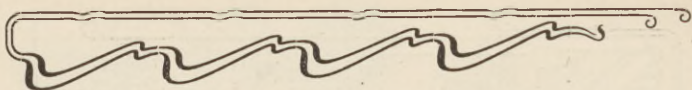
Któż głębie wrażeń streścić kiedy zdoła?
Odszedłem, — świeże zwały mię róże
I przepaściste jak noc oczy duże —
Dla czarodziejki jam rzucił anioła...

Duszę oplotły czarów dziwnych moce,
Pojąłem wtedy, co znaczą krwi szwały...
Zazdrość, co serce szarpie na kawały,
Rozkosznych marzeń nieskończone noce...

I jak niewolnik pokorny a cichy,
Jam duszę całą oddał tej zwodnicy,
Dla tych piekielnych oczu błyskawicy...

Za rozchylonych ust słodkie nektary...
I zdało mi się, żem ja robak lichy,
Co śmiał kwiat róży ukochać bez miary!...





II.

Szczęście nie wraca! Raz błysnie i zginie —
Ach! Igrać z sobą nie pozwala dumnie!
Raczej dla siebie niech gotuje trumnę
Ten, kto powrócić chce to, co raz minie...

Szczęście nie wraca!... jak gwiazda, co spadła!
Czemuż wspomnienia z niem razem nie giną,
Ale na dusze zlatują lawiną,
Do nadziemskiego podobne widziadła?

A myśl się wije, całą moc wyteża,
Aby przerwany na nowo snuć wątek,
Odtworzyć jeszcze z owych nikłych szczątek
Obraz, co sercu wróci raj i ciszę...
Lecz z głębin duszy głos, niby syk węża,
Szepce: — Śmierć tylko ból twój ukołysz!...





PO KWIATACH.....



Chciałabym umrzeć w bladą noc sierpniową,
Na jakiejś łące zielonej i cichej,
Gdzieby mi gwiazdy spadały nad głową
I lili polnych szeptały kielichy
Dziewiczej woni tajemną rozmową...

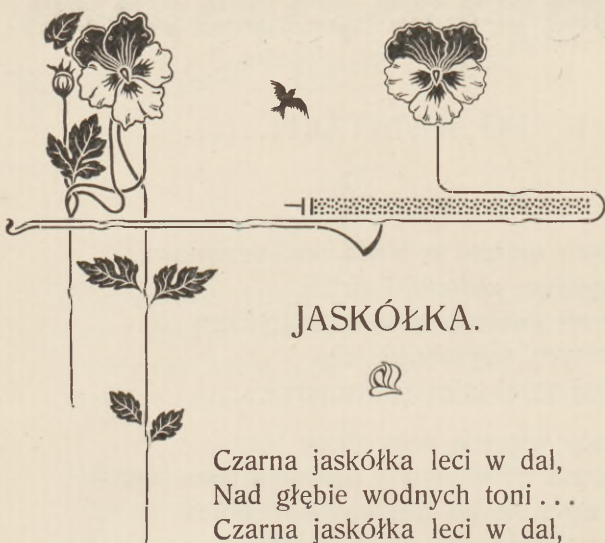
Kiedy wilgocią nocy dyszy łąka
I snem ogromnym i ogromną ciszą,
A mgła się po niej upiorami błąka
I sny srebrzyste nad kwiatami wiszą...
Aż zbudzi ziemię ranna pieśń skowronka...

Czułabym wtedy, jak po kwietnej fali
Odchodzi kędyś w stronę świtu życie,
A śmierć o skrzydłach ze mgławych opali —
Blada, jak tęczy na wodzie odbicie —
Zbliża się ku mnie z oddali... z oddali...

Złożyła skrzydła bezszelestne — blada —
I gdzieś przez kwiaty wlecze je za sobą,
Jak pył swój wlecze płacząca kaskada —
I wieje od niej tą wielką żalobą,
Co na mogiłach opuszczonych siada...

A kwiaty zbladłe i smętne ogromnie
Kładą się łańcem pod chłodną jej nogą,
Pokotem kładą się, drżąc nieprzytomnie,
I główek podnieść od ziemi nie mogą,
I tak po kwiatach śmierć się zbliża do mnie...





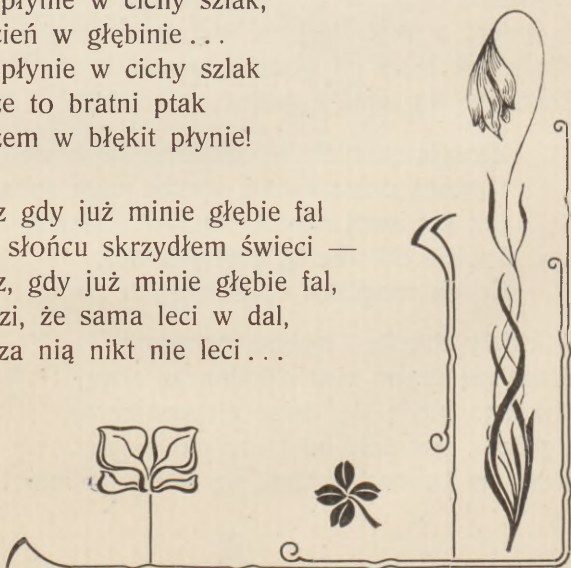
JASKÓŁKA.



Czarna jaskółka leci w dal,
Nad głębie wodnych toni . . .
Czarna jaskółka leci w dal,
A cień jej cichy pośród fal
Wciąż goni ją i goni.

Jaskółka płynie w cichy szlak,
I widać cień w głębinie . . .
Jaskółka płynie w cichy szlak
I myśli, że to bratni ptak
Z nią razem w błękit płynie!

Lecz gdy już minie głębie fal
I w słońcu skrzydłem świeci —
Lecz, gdy już minie głębie fal,
Widzi, że sama leci w dal,
Że za nią nikt nie leci . . .



NOKTURN.

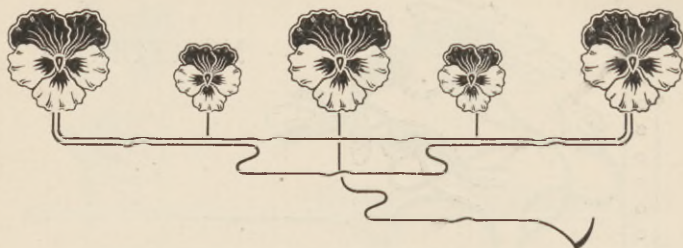


Chciałabym zasnąć, jak ona cicha
Lilia na fali,
Co senną wonią lekko oddycha
Pod mgławych niebios dzwonem z opali,
Lilia, co jeno niebu się żali,
Że jej srebrnego dotknął kielicha
Tylko prąd fali.

I tak, jak ona blada i drżąca
W słonecznem złocie,
Marzyć o srebrnych blaskach miesiąca,
A w bujnych wichrów chwiejąc się locie,
O cichej fali marzyć pieśczoćie,
Gdy modrą łuską o brzegi trąca
W słonecznem złocie.

Chciałabym upaść na fali łono
W noce samotne,
Gdy tonie w blaskach miesiąca płoną,
Drzeć zasłuchana w powiewy lotne,
Albo wpatrzona w nurty zawrotne,
Ukochać gwiazdy, co w falach toną
W noce samotne.





ŚWIATY.



Parno. Ze stawu idzie rehot żabi
I pszczoły brzęczą z pobliskiej pasieki,
Na łące, żółtkłej od słonecznej spieki,
Rój krasnych dziewczek nowe siano grabi.

Od pola miodem pachnie złoty łubin
I chór koników cichym szmerem gędzie
Na uroczystym radosnym obrzędzie
Ziemi i słońca ognistych zaślubin...

W powietrzu dyszy woń, jak w kwietnej lipie,
A z niewidzialnych klepsydr opył złoty
W cichym błękanie sypie się i sypie...

I gwiazdy zgaśłe w niebieskiej roztoczy
Ku ziemi, drżącej z słonecznej pieszczoty,
Zimne i martwe obracają oczy...





KRÓLEWICZ MAJ.



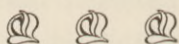
Otwórz, dziewczę, ktoś cię woła:
 To królewicz maj!
Pęki blasków ma u czoła
I porannych mgieł zawoje.
Otwórz, dziewczę, okno twoje —
 To królewicz maj!

Patrz, gałęzią czeremchową
 Puka w okna twe
I kochania cudne słowo
Śle z jutrzeńką do twej chaty . . .
Zbudź się, dziewczę — maj skrzydlaty
 Puka w okno twe!

Czy nie słyszysz nic, dziewczyno?
 Czy nie czujesz nic?
Pocałunków szmery płyną,
Jak piosenka wiosny pusta . . .
Czy ci we śnie nie drżą usta?
 Czy nie czujesz nic?

Czy ci w piersi żar nie wstaje,
Nie przerywa snu?
Upojeniem szumią gaje,
Upojeniem ziemia płonie...
Czy ci krew bijąca w skronie
Nie przerywa snu?

Zbudź się, cicha i pragnąca,
Niech nie czeka maj!
Z pocałunkiem złotym słońca,
Z pieśnią bujną, niby wino,
Niech nie czeka maj, dziewczyno, —
Niech nie czeka maj!



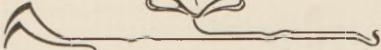
Ł Z Y.






Patrz, kropelka srebrna, Janku,
Na tym czarnym bratku drży...
Myślisz, że to łyzy poranku?
Nie... to, Janku, moje łyzy.

Weź ten kwiatek! Co cię lęka?
Twarz ci blednie? głos twój drży?
Weź ten kwiatek! Drży ci ręka...
Patrz... strząśnąłeś z bratka łyzy.





WIZYA.



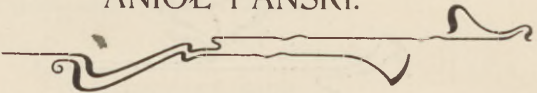
Co noc ktoś cicho nade mną łąka
I woła mnie po imieniu,
Na twarzy czuję stalowy blask
Oczu, błyszczących gdzieś w cieniu...

W bólu i w trwodze serce me drży,
Jak ptak śmiertelnie zraniony,
Duszę, zasnutą w wieczysty mrok,
Oświeca płomień czerwony . . .

Jak wąż oślizgły winie się wstręt
I syczy w każdym wspomnieniu;
Co noc ktoś cicho nade mną łąka
I woła mnie po imieniu.



ANIOŁ PAŃSKI.



Na wodę legł różowy cień
I rozlewił jasne fale —
Skróś ciszę, pełną złotych lśnień,
Wina się wolno i ospale.

Z ogrodów wschodzi zapach róż
I po winnicach się rozlewa,
W oddali pod melodyę mórz
Dzwon niewidzialny cicho śpiewa.

W gęstwinie laurowych drzew
Dzwon niewidzialny dzwoni z cicha,
Miarowo spada srebrny śpiew —
Wonią kwiatowych łąk oddycha.

Błogosławieństwo ziemi śle
Ukołysanej wielką ciszą,
Góry topnieją w złotej mgle,
Obłoki krwawym ogniem dyszą...





Leżę na stogu siana, upojony ciszą,
Błękit mnie obezwładnił, ogarnęła senność,
Oczym osłonił dłonią i w nieba bezdenność
Patrzę, kędy się srebrne obłoki kołyszą.

Marzę... W sercu, jak w księdze, myśli zgłoski piszą
Coraz inne — rozwiewną barw, obrazów zmienność,
Poi mnie łąk aromat i słońca promienność,
Wzrok we mgły się obleka, piersi zwolna dyszą.

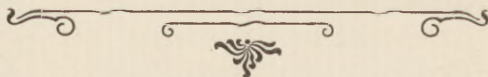
Tak gorąco, tak cicho... Gdy w dal niebieskawą
Spojrzę, dostrzegam, zda się, fal powietrznych drzenie,
Wiatr drzemie gdzieś w przestworzu, nie szeleści trawą.

Nie gra na harfie z liści jego skrzydeł tchnienie.
Senno, cicho, uroczu... Zatęsknię-ż za wrzawą
Życia, czując na sobie wieczności spojrzenie?





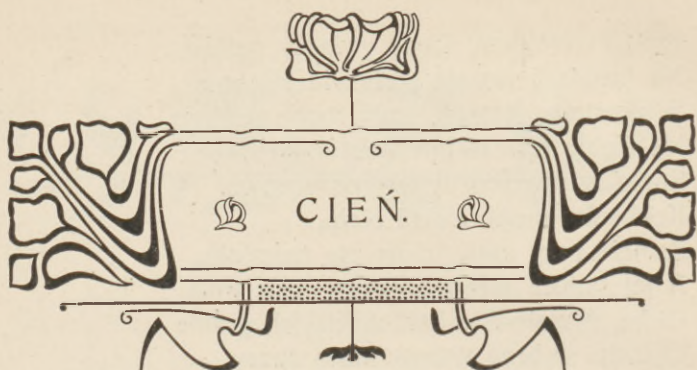
UAJALI.



Kochanka moja, Uajali biała,
 O oczach czarnych, jak noc południowa,
 O włosach złotych, jak łan w blaskach słońca,
 Smężna jak lilia, jak płomień gorąca,
 Gwiazd lśniących w duszy pani i królowa,
 Kochanka moja, Uajali biała,
 Stała przy mnie, cicho się zaśmiała,
 Potem na czole położyła dłonie
 I rzekła głosem, w którym słońce płonie:
 — „Weź mnie . . . na wieki oddaję się tobie,
 Wieńcem z róż jasnych czoło ci ozdobię,
 Pieszczotą myśli do snu ukołyszę
 I poprowadzę w dal, w błękitną ciszę . . .
 A tam swe usta w usta twoje wplotę,
 Pierś w pierś i w owym uścisku złączeni
 Będziemy śnili, aż nas rozpłomieni
 Krew, aż się w ognie przemienimy złote.”
 Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją
 I kiedy w starym, przedwiekowym borze
 Na drzewach ptactwo budzi się z uspienia,
 Kiedy łódź-słońce, na błękitów morze
 Płynąc, zorzami drogę rozpłomienia.

Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją,
Na kwiatach jeszcze srebrzyła się rosa,
W powietrzu jeszcze stały mgły perłowe,
Na niebie jeszcze noc hebano-włosa
Snuła warkoczem wstęgi purpurowe.
Kochanka moja, Uajali biała,
Stanąła przy mnie, cicho się zaśmiała,
A jej śmiech niebo otworzył nade mną.
Ciche, przesłodkie harf anielskich granie
Oplotło srebrną wstęgą moją duszę,
Poczułem szczęścia jasne zmartwychwstanie
I w serce taka weszła mi ochota,
Że rozśpiewało się jak harfa złota.
Stanąła przy mnie, cicho się zaśmiała,
A mnie się zdało, żem już wyszedł z ciała
I że na kwiatach gdzieś pod niebios progiem
Leżę i gwarzę cichą pieśnią z Bogiem,
Że jestem blaskiem lili, wonią róży
I pocałunków anielskich słodyczą,
Że jestem cichą piosenką słowiczą,
Świeżą jak łąka po wiosennej burzy.
Nie! To sen chyba! Uajali... Ona!
Wizya słoneczna ateńskich rzeźbiarzy,
Pieścić mnie pragnie i tulić do łona,
U stóp mych na głos o miłości marzy...
Nie, to sen chyba!... Uajali biała,
Do której długom modlił się daremnie,
Szepce, kochania owiana tęsknotą:
— „Niech mnie twe dłonie pożarem oplotą,
Niech usta twoje krew wypiją ze mnie.”





Gdy cień wieczorny gasi białą zorzę
 I wkrąg błękitne rozlewa kaskady,
 Chwieją się lilie wonne na jeziorze,
 A nad liliami płynie Chrystus błądy...
 Ukrzyżowane wyciąga w dal dłonie,
 Księżyc srebrzyste całuje mu szaty —
 Ponad kwiatami kołyszą się wonie,
 Ponad falami kołyszą się kwiaty...
 I marzą kwiaty o cudach nieznanych
 I złotej baśni, co się zjawia nocą...
 Ogromne gwiazdy nad światem migocą,
 Lilie w przeciągłym kołyszą się wicherze
 I płyną płacze po falach rozlanych,
 Lecz coraz dalsze, smutniejsze i cichsze...





UPOJENIE...



Drżą kwiatów srebrne okiście
Na wietrze ...
W miesięcznym blasku wciąż bledsze
Drżą liście ...

Wiatr na rozgranej drzew lirze
Pieśń gędzie —
Budząc w jeziora szafirze
Łabędzie ...

Upojny powiew rozchwiewa
Traw plusze —
Dusza się moja przelewa
W twą duszę!



PORANEK.



Stoi w blasku zielonym las wonny i świeży,
U stóp lasu drży skrami srebrzystymi rzeka ...
W mgle różowej, co zwolna złotem się powleka,
Biała kula słoneczna w perłowych łzach leży ...
I w ognistym turkusie jak łania się bieli,
Snopy światła rzucając w las wonny i w wodę ...
Nimfy — kwiaty-dziewczęta — wychodzą z kąpieli,
Susząc w słońcu warkocze i ciała swe młode.





WIECZÓR.



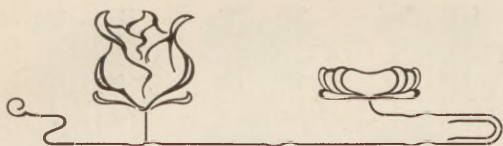
Na srebrnym stawie w blasku miesiąca
Cisza rozbłękitniona . . .
Skróś drżącej fali kładzie ramiona
Nimfa marząca . . .

Drżą senne drzewa i ziół kobierce,
Wionie wiatr chłodny,
Srebrne widziadła spływają w serce
Bogini wodnej . . .

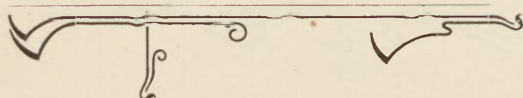
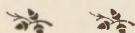
Elfów błyszczących wypływa z fali
Orszak skrzydlaty,
Ponad brzegami słuchają kwiaty,
Jak toń się żali.

Księżyc przez drzewa srebrnymi sploty
O staw potrąca,
Śród fal roztoczy czesze włos złoty
Nimfa marząca.





RANEK.



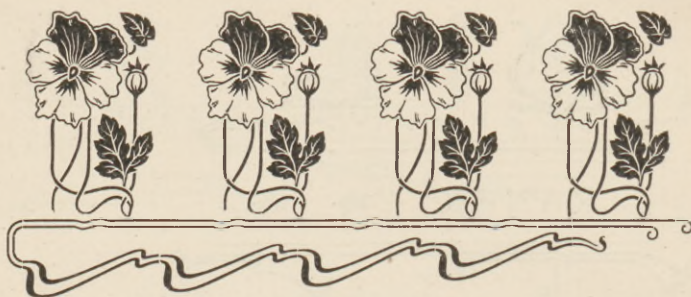
Słońce tka na niebiosach jasne arabeski
I drży na sennych liściach pajęczyną złotą,
Zdała rozwiewnych chmurek płynie tłum niebieski,
W wonnem powietrzu sny się przecudowne plotą.

Cisza ukojna, święta, zawisła nad ziemią,
Tylko niekiedy zefir na skrzydłach anielich
Podniesie blade kwiaty, które jeszcze drzemią,
I do ust im nektaru chyli srebrny kielich.

A wtem z za widnokręgów płynie hymn stugłosy,
Ziemia drży w jakimś wielkim, obłądnym zachwycie,
Z wilgotnego rzeszota sypiąc perły rosy . . .

I zewsząd płynie jeden okrzyk: Życie! . . . Życie! . . .
A słońce, swe ogniste rozczesawszy włosy,
Zawisło nieruchome, nieme na błękicie.





POŁUDNIE.



Z parku odurzające, senne płyną wonie,
Myśl na lazurach modrych, niebieskawych kona
I promiennego słońca ognista korona
Jasno-złotym pożarem ponad ziemią płonie.

Leniwie płyną rzeki rozsrebrzone tonie,
Cisza przykuła wszystko do białego łona,
Niekiedy zadrga kwiatek, trawka rozmodlona,
Lub echo dźwięknie w boru zielonej osłonie.

I znowu cisza wielka, bezmierna zapada,
Tylko słońce jaśnieje ogniścięj... ogniścięj...
Na łąki wypłynęła z toni nimfa blada.

Z macierzanek, rumianków usnuwszy okrycie,
I uplotłszy wianeczek z szmaragdowych liści,
Biega po bujnej trawy miękkim aksamicie.





o o o o o o o o PSYCHE. o o o o o o o o



Ze srebrnych gwiazd na ziemię pada nocna rosa,
Z ziemi w otchłań szafiru płynie ciche tchnienie
I z kwiatów rozmarzonych woń wieczorną żenie,
I z wód lekką mgłą zbiera i niesie w niebiosa.

Na wzgórzu stanął księżyc i patrzy z ukosa
Przez aleję cyprysów, co nieporuszenie
Czernieją na tle nocy, jak wysmukłe cienie —
Pod cyprysami błądzi Psyche jasnowłosa.

Idzie lotna, niesiona skrzydłami motyla,
Co lśnią od złotych żyłek na perłowej błonce;
W jej ręku płomyk lampy różany migota —

Idzie i nad kwiatami przystaje co chwila:
Może wśród kropel rosy w kielicha obsłonce
Szuka łez, które ludzka wylała tęsknota? ...



ko

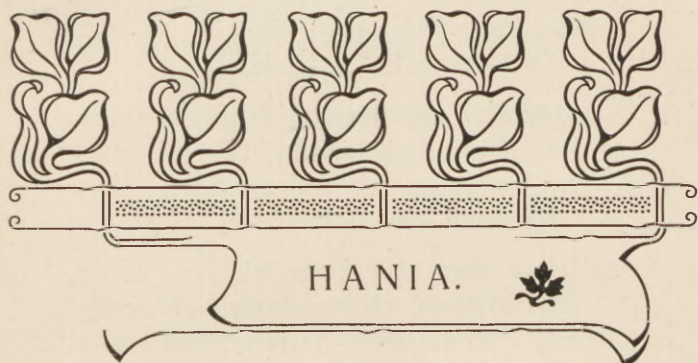
SKRZYPCE.

W błękitną, cichą noc miesięczną
Ktoś na skrzypcach gra,
Melodya płynie falą dźwięczną,
W powietrzu jasnym drga.

I brzozy stoją zasłuchane
W harmonię słodkich brzmień...
Księżyc na białą dworu ścianę
Rzuca gałązek cień...

Coraz namiętniej, rzewniej, więcj
Rozbrzmiewa skrzypiec ton,
Jakby żalosny płacz dziewczęcy
Z dalekich leciał stron.

I brzozy w księżycowem srebrze
Rozwiały siwy włos,
Słyszac, jak żali się i żebrze
Łkających skrzypiec głos...



I.

Leci piosenka moja skrzydlata
Na krańce świata
Przez mroczny bór,
Nad jasne pola, nad modre rzeki,
Gdzieś w kraj daleki,
Za grzbiety gór...

I śpiewna płynie jaskółczym lotem
W powietrzu złotem
Błękitnych dróg —
Aż przyleciała moja piosenka
I kornie klęka
U twoich nóg.

II.

Królewna moja idzie przez łąki,
Nad kwieciem się pochyla
I zbiera małe dzwoneczki lila,
Te blade polne dzwonki.

A każdy dzwonek dźwięczy i dzwoni
W liliowe swe kielichy
O tem, co dzisiaj wśród nocy cichéj
Mówiłem gwiazdom o niej.

Królewna moja idzie przez łąki,
Dzwonienia ich nie słyszy —
Nie wie, com gwiazdom rzekł w nocnej ciszy...
I tylko zbiera dzwonki.

III.

Nie będę z tobą mówił o wiośnie:
O tem, jak drzewa puszczaają pąki,
Jak złoty jaskier nad wodą rośnie
I w jasne niebo lecą skowronki,
Jak rozorane, pachnące role
W słońcu oparem srebrnym się kurzą —
O tem ja milczeć przy tobie wolę, —
Rzekłbym dwa słowa... za dużo!...

IV.

Idzie wiosna i sieje pył złoty
Słonecznych promieni,
Wierzby dźwięczą wróblimi świągoty
W gałązek zieleni,
Ziemia kwitnie, iskrząca się rosą,
Przez łąki się uśmiecha,
Ciepłe tchnienia z nad roli gdzieś niosą
Zapachy i echa...

Ty, jak wiosna — tak idziesz siejąca
 Czar słodki oczyma,
 Czar, co struny mej duszy potrąca
 I pierś moją wzdyma;
 Coś mi w sercu się śmieje, i kwitnie,
 I śpiewa i płacze —
 Tak mi w oczach słoneczno, błękitnie,
 Gdy ciebie zobaczę.

V.

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
 Ni lasu całych włók —
 Mam nieba strop i świata krąg
 Aż gdzieś po tęczy łuk.
 Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
 I perły mlecznych dróg,
 Szmaragdy niw, szafiry mórz,
 Opale mglistych smug.
 Mam każdy pąk rozkwitłych drzew
 I róż pachnący dech,
 I lasów szum, i ptaków śpiew,
 I tysiąc brzmień i ech.
 Lecz wszystko dam: ten cały świat
 I pieśni srebrny zdrój
 I wszystek czar młodzięńczych lat
 Za pocałunek twój!

VI.

Gdy mi się wszystko wkoło mroczy,
 Gdy się powszednim trudem znużę —
 Wtedy mi patrzeć daj w swe oczy,
 W oczy swe czarne, ciche, duże...

Kiedy się ugnę w twardej męce
I gdy w bezsilnym smutku stoję —
Ty mi na czole połóż ręce,
Ręce swe miękkie, słodkie, moje!

VII.

Ani ty moja, anim ja twój:
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić —
Pryśnie marzenia pajęcza nić
I snów tęczowych prześni się róż.
Ja w swoją drogę, ty w swoją idź . . .
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić —
Ani ty moja, anim ja twój!

VIII.

Na kwitnącej, na jabłoni
Słowik dzwoni
Tak srebrzyście, tak miłośnie,
O tej wiośnie,
O młodości, o kochaniu . . .
— Słyszysz, Haniu?

IX.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,
We mgłę bladą
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

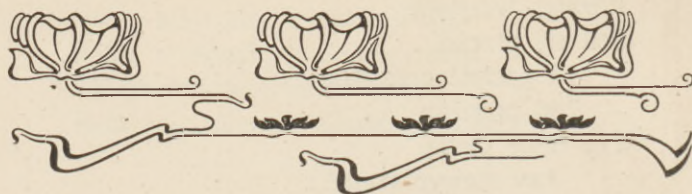
Później, wcześniej,
Sen się prześni
 I kochać przestanę...
— Pod powieką
Łzy mnie pieką,
 Łzy niewypłakane!

X.

Szumny wicherze głuchych pól,
 Poleć jak najdalej,
Zabierz z sobą gorzki ból,
 Co mnie w sercu pali.

Zabierz z sobą gorzki ból,
 Niech przestanie boleć —
Szumny wicherze głuchych pól,
 Na kraj świata poleć!





PRAWDA.



Nad starą księgą mędrców gdy pochylam skronie
I minionej przeszłości badam tajemnice,
Odwiedzam myślą wieków odległych świątnice,
Gdzie nieśmiertelnej Prawdy wieczysty znicz płonie.

Widzę Boga, jak siedzi na potężnym tronie,
I oglądam sfinksowe Jego Boskie lice,
A przed nim płoną myrry pełne ofiarnice
I blask ich się w złocistej odbija koronie.

A przed tronem, w twarz Boga spoglądając śmieie,
Choć od niej promienista jaśnieje słoneczność,
Przechodzą mędracy, Prawdy wieczystej czciciele.

Z oczu im nieśmiertelność pogląda i wieczność,
I każdy z nich, na wieku swego idąc czele,
Wiedzie go, gdzie jest Prawda — rzeczy Ostateczność.





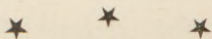
— Tam... pode mną
Potworna otchłań paszczą ziele ciemną,
I z wnętrza, w żyłach mroząc krew,
Potworny huczy zew...

— O pójdz!... Jam owa tajemnica,
O której śniłeś nadaremnie...
O pójdz!...

Odkryję ci fatalne lica,
Byś się mądrości uczył ze mnie...
O pójdz!...

Niech trwoga woli twej nie pęta,
Niech wstręt twych oczu nie odpycha...
O pójdz!...

Ja, niezgłębiona, niepojęta,
Dam ci z wieczności pić kielicha...
O pójdz!...



— Zorza!... Zorza!...
Słońce podniosło skroń z za morza,
I krwawo-purpurowe włosy
Rozwiewszy — wschodzi na niebiosy!...

Olbrzymi hejnał z fal powstaje...
Wtórzą mu echem wzgórze, gaje,
I jednym krzykiem drżą przestworza:
Zorza!... Zorza!...

— Życie!... Życie!...
Krwawy płodzenia szal w zenicie!...
Gorący blask, płomienne kwiaty
I duszne, parne aromaty!...
Nic prądu dzikich sił nie wstrzyma!...
Łąd się rozognia — morze wzdyma!...
Duch i materya drżą w zachwycie:
Życie!... Życie!...



— A pode mną
Potworna otchłań paszczą zieje ciemną,
I z wnętrza, w żyłach mroząc krew,
Potworny huczy zew...

— O pójdź!... Ta chwila upojenia
Posad odwiecznych praw nie wzrusza...
O pójdź!...

Cóż — że doczesność kształt odmienia?
Lecz nieśmiertelną — tylko dusza!...
O pójdź!...

Przez moje ciemne, głuche wrota
Dnia tego wszystkie przejdą płody...
O pójdź!...

Więc, zanim zmoże cię tęsknota,
Nim przeklniesz jednodniowe gody —
O pójdź!... O pójdź!... O pójdź!...





WIESZ, KWIATY PACHNĄ...



Wiesz, kwiaty pachną... dziwne jakieś kwiaty —
Wielkie... o białych, rozwartych kielichach —
I o królewskich mówią mi przepychach
Ich delikatne, senne aromaty...

Śnią mi się miękkie, puszyste kobierce,
Fontanny, pereł szmerzące kaskadą,
Co, odurzając myśl swych szeptów zdradą,
Rozkosznie zmysły pieścżą mi i serce...

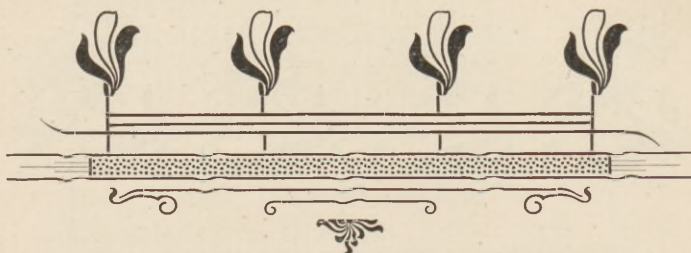
Nic nie mów... nawet dźwięk twojego głosu
Zamąciłyby mi harmonię tej ciszy,
Co upojeniem bezgranicznem dyszy,
Dając ziemskiego zapomnienie losu...

Pachnijcie, kwiaty!... Najbujniejsza wiosna,
Takiej po gajach nie rozlewa woni...
Siądź, luba... miękka pieścżota twej dłoni
Niech złotym szlakiem zdobi marzeń krosna...

O życie! masz ty wielkie upojenia
I aż po brzegi nalane kielichy!

.....
Zmierzch idzie senny, zadumany, cichy,
I serca nasze w struny harfy zmienia...





W ARKADYI.



Różowa Eos błękit nieb
Już w barwne zdobi tęczę
I w szaty z wielkich, sinych mgieł
Przystraja się pajęcze...

W mirtowych gajach życie wre:
Ptaszęta i motyle,
Niby wiosennych kwiatów deszcz,
W słonecznym błyszczą pyle.

Ziół balsamiczna płynie woń,
Owady w słońcu brzęczą
I cała ziemia w blasku zórz
Kąpie swą pierś młodzieńczą...

I nagle... głośny słycać gwar,
Ochocze płyną pieśni —
I zadziwiony milknie wiatr
I śpiewakowie leśni...

A z mroków, jak królewski dwór
Przepychem jaśniejąca,
Wybiega rzesza chłopiąt, dziew
W złotego fale słońca...



Za niemi, skróś gęstwinę krzów,
Skróś mirty i cyprysy,
Z perłowej muszli ciągną wóz
Pokorne dwa tygrysy...

A w wozie dworu tego pan
Na świeżych, wonnych kwiatach —
Sam Dyonizos — wina bóg,
W bogatych spoczął szatach...

Za nim faunowie dążą w ślad,
Przy ustach dzierżąc fletnie —
I cały orszak płonie, łśni,
Barwami błyska świetnie.

Bóg skinął — w miejscu staje dwór,
Dryady tworzą koło...
Na wiatr rzuciły złoty włos
I śmieją się wesoło...

Różowych chłopiąt biegnie rój,
W zielone zdobnych bluszcze —
I miga złoto drogich czar
I śmiechem drgają puszcze...

Płasają nimfy... Młody bóg
Pod mirtem w cieniu siada
I płoni mu się ogniem żądź
Twarz od nadużyć błada;

W oczach niezdrowy błyska żar,
Rozchylił wargi wzdęte —
Ściga wejrzeniem mętnych ócz
Dziewicznych kras ponętę...

A z poza gęstych puszczy drzew
Na dryad płąs figlarny,
Złoconą sierścią w blasku łśniąc,
Płochliwe patrzą sarny...



Wtem... drgnął nieznacznie wiotki liść:
Słysząc czyjś krok nieśmiały —
Sarenki pierzchły, z trwogi drżąc,
I w gąszczu się schowały...

A na ścieżynie, niby kwiat,
Niby zjawisko złudne,
Wykwitła nagle róża róż —
Dziewczątka jak sen cudne...

Stała cicho... patrzy w głąb'
Na tajemnicze grono,
Strzelistych piersi kryjąc biel
Zazdrosnych szat osłoną...

Bóg dojrzał dziewczę, skinął nań —
Więc zbliża się nieśmiało...
I wnet satyrów zmiłkła pieśń,
Nimf grono pieśń przerwało...

— „Kto jesteś, piękna?” — „We wsi, tam,
Za tym mirtowym gajem,
Ja owce pasę; stado me
W dolinie nad ruczajem...”

— „Gdzie idziesz?...” Dziewczę schyli skroń,
Jak róża się zapłoni
I szepnie cicho: — „Luby mój
Tam czeka mnie w ustroni.”

— „Twój luby? ... Dziewczę! ... Jakto, ty,
W tak świetne strojna wdzięki,
Pozwalasz, by cię brukać śmiał
Śmiertelnej uścisk ręki?”

O, rzuć tę miłość! ... Do twych stóp
(A nóżki masz tak ładne!)
Ja, Dyonizos, wiosny bóg,
Z rozkoszą sam upadnę...



Patrz! . . . Oto dwór mój, sługi me,
Pałace mam ze złota,
Klejnotów, pereł cały stos:
Pójdź, piękna, w moje wrota!"

Zadrzało dziewczę . . . Myśli rój
Pod czołem jej się tłoczy,
Rumieniec śnieżną oblał twarz,
Zabłyśły czarne oczy.

I w duszy, w blasku wszystkich kras,
W młodości aureoli,
Ujrzała tego, co miał być
Jej towarzyszem doli . . .

Ujrzała go — więc pokus tłum
Od serca precz odpędza . . .
Lecz płochy demon szepce wciąż:
— Z nim nędza . . . nędza . . . nędza!

A tu, na łożu z wonnych róż,
Słuchając cudnych pieśni,
Niby rozkoszny, złudny sen,
Całe swe życie prześni . . .

Nęci ją złota świetny blask,
Woń kwiecia, dwór wspaniały,
I nawet . . . nawet — wstyd mi rzec —
Pijanych uciech szały . . .

Więc . . . dała bogu śnieżną dłoń
Na znak milczącej zgody —
A tam w ustroni czekał wciąż
I tęsknił pasterz młody . . .

A gdy go straszna doszła wieść,
Z żalu mu pękło serce —
I poszedł biedak w zimny grób
O płochej śnić pasterce . . .



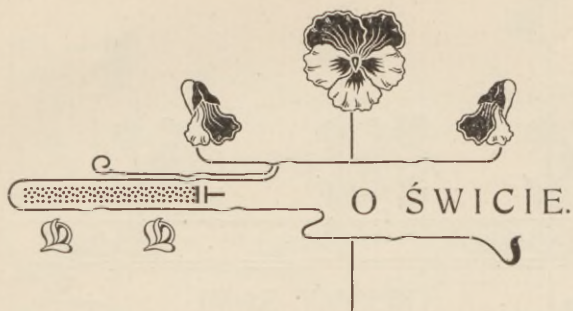
A dziewczę? . . . Zwykły życia tryb:
W zatrutej atmosferze
Straciła swój naiwny czar
I barwy swoje świeże;

Śród grona nimf rozpustny płas
Dziś wiecie już bez sromu
I na kosmatą fauna pierś
Upada pokryjomu . . .



O, jakże trudno znaleźć tu,
Na biednym naszym świecie,
Śród tylu pysznych wiosny róż
Nierobaczywe kwiecie! . . .





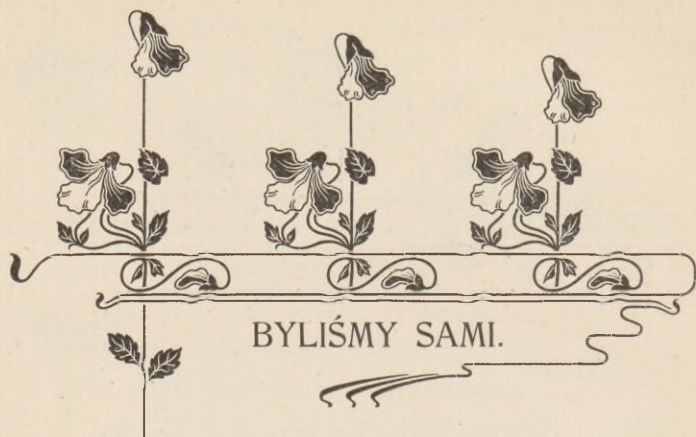
Świta... Ucichły wszystkie szmery w borze,
 Blask jakiś srebrny zszedł na górskie szczyty...
 Świat śpi, białymi mgłami upowity,
 Stary bór milczy... W dole, na jeziorze,

Drzemią lilije, wpatrzone w błękity,
 W tęczowych światłach budzące się morze,
 Gdzie płoną jutrznie i mieniają się zorze,
 Skąd schodzą blade na ziemię przedświty...

Ja jeden nie śpię... W szarawym półmroku
 Świetlanych marzeń wije się nić złota —
 Chcę uciec w kraje niedostępne oku,

Na orle drogi, — chcę stargać wędzidła —
 Lecz na mym progu usiadła tęsknota
 I pierś przygniotła i związała skrzydła...





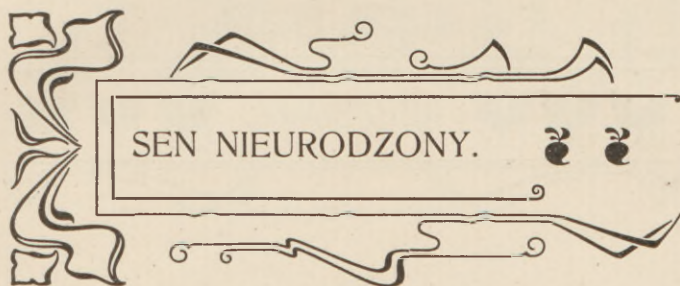
Byliśmy sami... Na zwalonej sośnie
 Staliśmy, wonią kwiatów upojeni...
 Nad nami w gąszczu wiosennej zieleni
 Leśny trubadur śpiewał pieśń o wiośnie;

Śpiewał o jutrzni, co się tęczą mieni,
 Śpiewał o lilii, co nad stawem rośnie —
 I pieśń płynęła po lesie rozgłośnte
 I zamierała śród wieczornych cieni...

A zmrok zapadał... Na gór szare grzbiety
 Schodziły z niebios blade fioletoły
 I mgła się kładła pomiędzy drzewami...

A nam w ów wieczór półjasny, półsenny,
 Śnił się o zmroku taki sen promienny,
 Żeśmy milczeli, choć byliśmy sami...





Będę tworzył! Rozmachem szaleje mi ramię!
 Hartownym młotem będzie mi piorun mej siły!
 Oto szukam olbrzymiej cyklopowej bryły,
 By sen mój z ognia wcielić w marmuru odłamie...

Wybrałem ogrom skalny — gład, ginący w chmurze,
 Krzyk potęgi, zakrzepły w kamienną kolumnę...
 Bo potrzeba kolosu na me dzieło dumne,
 Bo sen mój chodzi w świetnej, królewskiej purpurze!

Wiem: nikły będzie w gładu skończoność odziany.
 Nie w ciebie, karła bryło, zaklinać tytany!
 Niema w świecie ogromu, godnego mej mocy!

Cała ziemia na posąg mego snu za mała!...
 Uśmiecham się wyniośle... dłoń spada wzdłuż ciała...
 Hej! śnie nienarodzony, śnie mych wielkich nocy!





Mistrz uczuł w swojej piersi dech nieskończoności,
Potężnej, jak ocean, gdy się pianą zwałni.
Chciał wyrzucić z swej głębi moc życiowej pełni,
Której orkan wezbranej potęgi zazdrości.

I w głazie dłonie jego młodzieńca wykuły,
Który ludzi miał uczyć zwycięstw, dumy, chwały!
Posągu człon drgał każdy siłą napęczniały,
Szałem nadmiaru grały w nim wszystkie muskuły.

A ten, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze,
Padł na twarz, zatrwożony, szepcząc ciche modły:
„W proch przed tobą mocarze niech padną najpierwsi!”

Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze.
I widząc, jak moc rzuca siew słabości podłój,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi!





POCZUCIE PEŁNI.



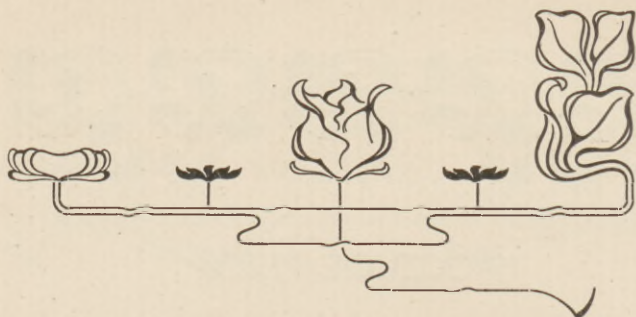
Wszystko, co we mnie trwożne, poddańcze, pokorne,
Zgniotłem brutalną, dziką pięścią wielkoluda,
Bom ubóstwił potęgę szalejącej cuda,
Orkany rozkiełznane, butne i niesforne!

I rozdzwoniłem serce me w rozgrane tętno,
Rozbijałem mą duszę niezłomną i hardą
W pieśń mocy wielką, prostą, surową i twardą,
W pieśń burzy i swobody zuchwałą, namiętą.

Znalazłem siebie w wichrów rozuzdaniu ślepem,
W ryku gromu, co wstrząsa oceanów łozem,
W błyskawicy, co pomroc rozdziera północą!

Teraz jestem bezbrzeżnym, wolnym, dzikim stepem!
Teraz jestem huczącym, rozpętanem morzem
I burzą gwiazdnych wirów potężną — wszechmocą!





 SEN O MORZU.



Jest wielkość w cichych nocach! Wtedy sny olbrzymie
 Roję i czuję dzikich, górnych tęsknot nawał,
 Jakby huragan groźny w mojej piersi wstawał...
 Śnię się królem — powtarzam me królewskie imię.

Wtedy marzę ocean bezbrzeżny i ciemny,
 Jak ciska się i fale wzburzone rozlewa,
 I spienioną pieśń chmurnej swej potęgi śpiewa,
 Majestatem swych gniewów wspaniały, tajemny!

Wtedy śnię morze dumne, ogromne, szalone,
 Wolne i niespętane — jak grzmi, piętrzy wały
 I drze skały w dno wrosłe, brzeg oporny porze...

O! pośród takiej nocy wielkiej, jasnej, białej,
 Gdy szumisz, szczęściem własnej mocy upojone,
 Hej! o czym ty śnić musisz, nieskończone morze!





DZIWACZNY TUM.



W męczarni twórczej, w bólu natężonej mocy,
Trawiony dzikim ogniem, z obłąkanem czołem,
W jeden kolos złać chciałem nadludzkim mozołem
Kształty, barwy i dźwięki mych bezsennych nocy.

I niebywały jakiś kościół zbudowałem,
Przygniatający groźną potęgą ogromu!
Wewnątrz wzniosłem cyklopie posągi, ze złomu
Olbrzymich brył wydarte mego dłuta szalem!

Na ścianach pędzłem snów mych wypisałem dzieje...
Tam męka ma w dziwacznych orgiach barw jaśnieje,
A z organów głos płynie moich pieśni ciemnych...

Kto tu wejdzie, nie pojmie tych dziwów tajemnych,—
A ja, co znaczą, odkryć nikomu nie umiem,
Bo—twórca—mowy własnej duszy nie rozumiem!





CHWILA.



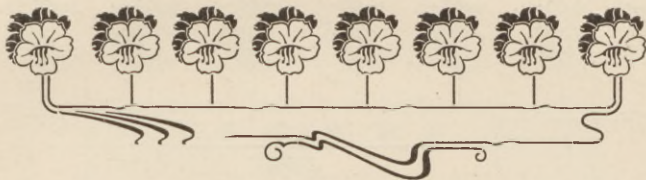
Oblubienica ślubną zdejmuję zasłonę,
Czeka na pocałunek mój i obietnicę
Pieszczot... O! że mi w takiej chwili przeznaczone
Wprowadzić sny dziewicze w małżeńską łożnicę!

O! w takiej chwili witać mam oblubienicę!
Oto zdejmuję białą swą zasłonę ślubną...
I czeka, abym z siebie zrzucił tajemnicę...
Na Boga! Powstrzymajcie chwilę dla niej zgubną!...

Oblubienica ślubną zdejmuję zasłonę...
O! pozwólcie mi z ramion zdjąć mój kir! Jak trudno!...
Zda się, że zrósł się ze mną... Jam rany czerwone
Skrywał nim... Z grzechów zszyłem tę szatę ułudną...

Chwila nadchodzi... Witać mam oblubienicę...
Na Boga! powstrzymajcie chwilę dla niej zgubną!...
Ona skona, ujrawszy duszę-upiorzycę...
... Oblubienica zrzuca swą zasłonę ślubną...





SUMIENIE.



Rzuciłem jedną dziewczkę, bom wszystkie rozkosze
 Już wyszał z niej, — a oto ta druga mą żądę
 Zażęgła... — i ją w moje prowadzę wrzeczadze,
 I jej pocałunkami krzyk sumienia spłoszę.

Bo wczoraj, gdym tkał sobie weselne okrycie
 Z ostatniej pozostałej mi przędzy konopnej, —
 Wpadła tamta, wżgardzona, w bładości okropnej,
 I wszystkie na warsztacie mym stargała nicie...

Wściekły, zabiłem dziewczkę... z jej złotych warkoczy
 Utkąłem sobie szatę — i w niej dziś przy uczcie
 Weselnej siedzę... Kto mi przypomniał jej oczy?
 Kto dusi mnie!? Na Boga! szatę ze mnie zwłóczcie!

Włókna szaty ożyły! Każdy włos, jak żmija,
 Ścisła się koło szyi mojej! Jak pętlica...
 Tysiąc żmij wkoło ciała mego się owija...
 Każdy włos martwy mści się... śmierć, śmierć trupiocala!





PRZYCHODZI DO MNIE NOCĄ...



Przychodzi do mnie nocą, bierze mnie w ramiona —
I jest mi dobrze, cicho, — choć nie wiem, kto ona...

Mówi, że są podniebne, zawrotne przełęczce,
Gdzie stopy tylko jasne opierają tęcze;

Że w skalne pustki schodzi głusza taka cicha,
Że słyhać, jak rozgrzany gład żar słońca wdycha;

Że pomiędzy leśnymi, dzikimi wykroty
Spoczywa zakopany tajemnic skarb złoty;

Że są wody umarłe pod zieloną pleśnią
W ostępach tak zapadłych, że o wichrach nie śnią...

Że nocą ponad ciemne, grzązkie trzęsawiska
Błękitny lata ognik, migota i błyska;

Że nie wszystko odarte z tajni i uroku,
I jest gdzie duszą błędzić o wieczornym zmroku.

Szeptem swym mnie usypia u białego łona —
I jest mi dobrze, cicho, — choć nie wiem, kto ona...





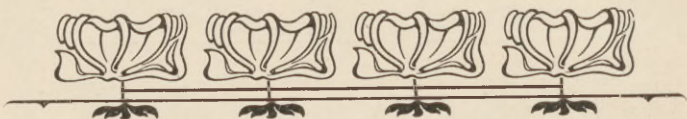
I.

Puszystą, nieskalaną bielą,
 Jakby dziewiczych łóż pościelą,
 Śnieg przykrył pola głuche, senne,
 Aż hen, po bór błękitno-szary —
 Pod kwieciami zimy śpią obszary,
 W zadumę bladej ciszy pełne.

Oczy me błądzą po bezbrzeżnej,
 Melancholijnej pustce śnieżnej —
 I wstaje we mnie dni mych rano
 Z popielisk zimnych martwej głuszy,
 Gdym na łabędzich skrzydłach duszy
 Miał lilii śnieżność nieskalaną.

Niesiony w przeszłość wspomnień falą,
 Poję się duszy śnieżną dalą —
 Sennie rozpływam się w niej cały..
 ... Śnię, że ma dusza swą tajemną
 Biel rozścieliła tu przede mną,
 W step nieskończony, śnieżny, biały.



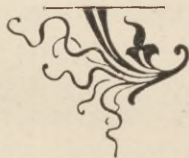


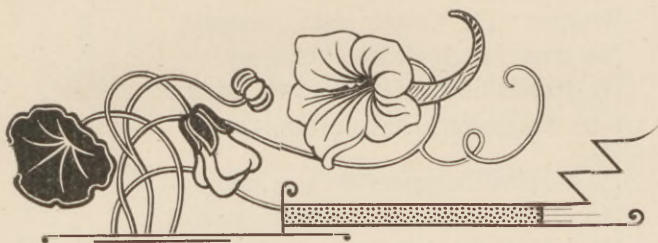
II.

Z dali milczącej, modro-siniej,
Gdzie się z pól śniegiem skłon jednoczy,
Przez czystą, mleczną biel równiny
Postać tułacza, ciemna kroczy.

W żebraczy łachman kryjąc ciało,
Idzie wśród pustki sennej, bladej —
I w nieskalaność śniegu białą
Wtłacza stóp swoich brudne ślady.

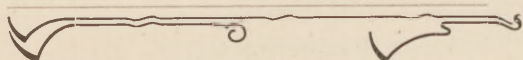
I zda mi się, że widmo bolu,
Idąc, zostawia ślad bolesny
Na mojej duszy śnieżnym polu —
I trwożnie patrzę w step bezkresny.





CISZA WIECZORNA.

DO STAWU SMRECZYŃSKIEGO.



Po zboczu skał, po turni żlebie
Rozmiłowana mknę do Ciebie —
Nęci mnie twoje oko pawie,
Błękit twych wód, Smreczyński stawie!

Z przepaści ludzkich dusz przychodzę,
Zabieram kwiatów woń po drodze
I ocmą zwiewną i pajęczą
Wieszam się ponad gór przełęczą.

Owijam Bystrej czarną głowę,
Otulam świeże pnie smrekowe
I, tchnieniem wiatru potrącona,
Opadam w senne twe ramiona...

Nawiewam mgły różanowłose,
Omdląłość wielką, senność niosę,
Spijam twe wody srebrniejące,
A ust i piersi mam tysiące.

Z za kop, z za rdzawej skał przełęczu
Niebo się z dali do mnie wdzięczy,
Rąbek za rąbkim się odchyła:
Modre, ponsowe, srebrne, lila.

Próżno! Do Ciebie mknę, jedyny!
Na traw twych drżące seledyny,
Na twych burzanów krwawe kuszczce,
I aż na śmierć Cię nie opuszczę!

O czym ty marzysz? O orkanie?
Na cóż Ci wichrów halnych granie?
Na cóż skry, gromy i poświsty —
Mój ty błękitny, przezroczysty!

Śpij, mój ty piękny! Gdy zadrzemiesz,
Będzie Cię orał wiatru lemiesz,
A ja siał będę słodkie ziarno
W twoich strumieni glebę czarną.

Kołysać będę je miłośnie,
Baśnie im szemrać. A o wiośnie
Przecudne lilie Ci zakwitną
Nad wód roztoczą aksamitną.

Spójrz, jak mi piersi białe dyszą —
Czy ty mnie kochasz?... Jestem ciszą...
Spójrz, jak się złote cienie roją...
Czy mnie pożądasz?... Jestem twoją!

Twoją do śmierci! Nic nie spłoszy
Omdlewających drgnień rozkoszy...
Takiej kochanki i miłości
Człowiek Ci nawet pozazdrości.



ZNUŻENIE.

Ach! gdzieś wśród łąk
Bladej zieleni —
Wkrąg
Kryształowa noc się promieni!

W przestworze drży
Ocean biały —
Mgły
Jasne łożo moje owiały.

W mglistych szarfi
Miękkiej oponie
Harf
Srebrny akord zmilka i tonie...

I życia scen
Szereg rozwiany
W sen
Pod kopułą białą nirwany!

Ach! w tej mgle
Deszcz się rozdzwonił perłowych łez!
Śnię,
Tonę w bieli — już nadszedł kres!

Z CYKLU „LUNATICA.”

ROSA MYSTICA.

... Rosa mystica,
Domus aurea,
Porta coeli.....

Na aksamitu czarnych zwojach
Wykwita cudna biała róża:
Z chmur rozścielonych się wynurza
Świetlany blady pąk.

I zwolna słodko się rozwija,
Rozchyła pełne białe łono —
W przestrzeń blaskami upojoną
Miesięczny wzniosł się krąg.

★ ★ ★

Na aksamitu czarnych zwojach
Śni róża biała i promienna,
Rozkwitem odurzona, senna
Pochyla lśniący pąk.

W oblasków omdlewając pełni,
Otęczą się osrebrza mgliście
I osypuje blade liście
Na chmur kobierzec wkrąg.

★ ★ ★

Na aksamitu czarnych zwojach
Bładością upojenia pała,
I mrze i kona róża biała
W ekstazie słodkich mąk...

Zgasała, rozwiała się w zamroczu —
Jeno na czarnej chmur rubieży
Opadłych liści biel się śnieży
Smugami srebrnych wstąg.

* * * *



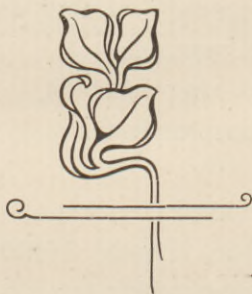
Odwieczna piosnka — jesienny chłód
Powarzył kwiaty . . .
— Ot, na przepadłe poszedł mój trud,
Rozwiały się marzenia —
I serce moje, zimne jak lód,
Już się nie rozpłomienia.

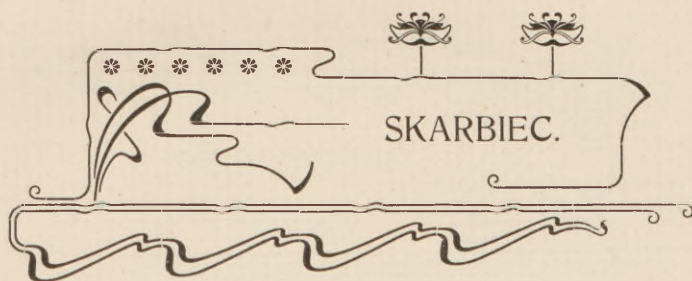
— Niegdyś, przed laty,
Umiało kochać, pragnąć i śnić —
I złotych marzeń pękła już nić . . .
Odwieczna piosnka — jesienny chłód
Powarzył kwiaty —
Opadły liście z pożółkłych drzew,
Wiatr nimi micie . . .

Dziecinnych marzeń dusza nie roi,
Odbiegły wszystkie — spłoszył je czas...
— Ot, ogień płonął, płonął i... zgasł,
Skrzydlatych ptaków odleciał rój
Od szarej ojczyzny swojej...
Odwieczna piosnka — jesienny chłód
Powarzył kwiaty...

I serce moje zimne jak lód —
I jako drzewo, gdy opadł liść,
Stoję znędzniały, bo dokąd iść?
Wszak w jakąkolwiek udam się drogę,
Dzisiaj już w sobie znaleźć nie mogę
Tego z... przed laty!...

.....
Odwieczna piosnka — jesienny chłód
Powarzył kwiaty...



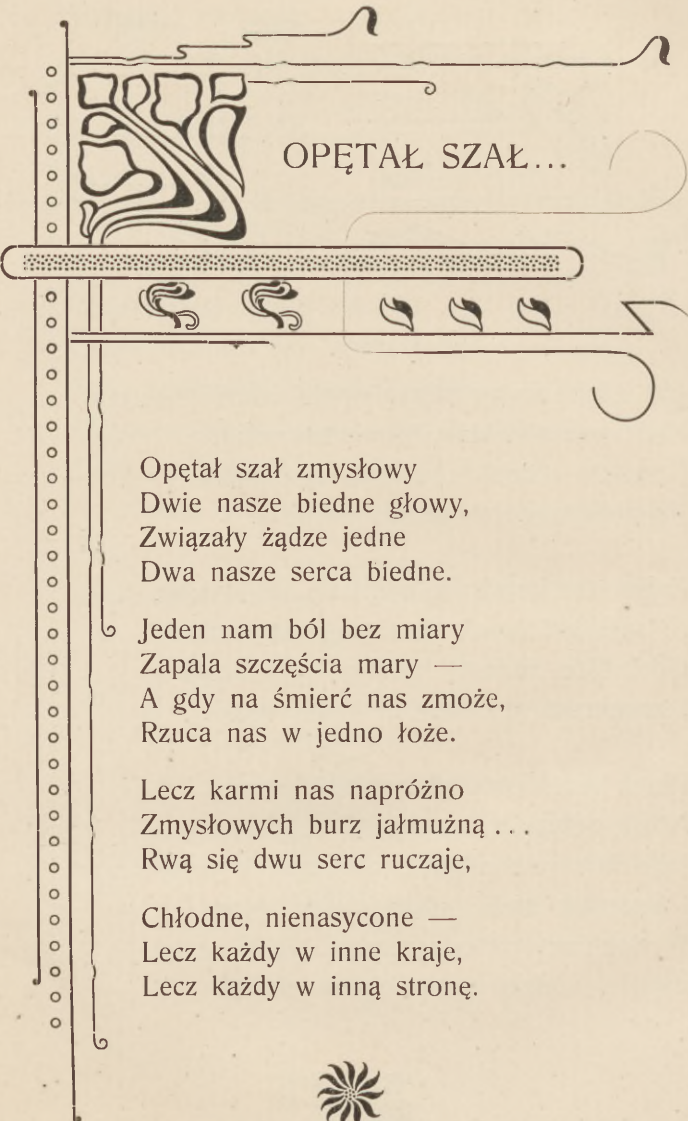


Jest gdzieś w przestrzeni wielki skarbiec ducha,
 Kędy wszechwiedna, tajemnicza władza
 Umysłów ludzkich puściznę zgromadza,
 Najlotniejszego świadoma okrucha.

Żadna tam wtargnąć nie śmie zawierucha,
 Ni czas błękitnych tknąć się waży pował,
 Gdzie Bóg klejnoty koronne przechował
 I zapomnianych wielkich haseł słucha.

Płoną tam słowa jak rubiny ciemne,
 Krwią opłynięte, świetne, choć daremne,
 Łzy twórczych pragnień, skrzepłe w perły czarne,
 I wszystkie myśli ludzkie dobre, górne,
 W skarbiec ów boży zebrane jak w urnę,
 Żyją — i nigdy nie pójdą na marnę!





OPĘTAŁ SZAŁ...

Opętał szal zmysłowy
Dwie nasze biedne głowy,
Związały żądze jedne
Dwa nasze serca biedne.

Jeden nam ból bez miary
Zapala szczęścia mary —
A gdy na śmierć nas zmoże,
Rzuca nas w jedno łoże.

Lecz karmi nas napróżno
Zmysłowych burz jałmużną ...
Rwą się dwu serc ruczaje,

Chłodne, nienasycone —
Lecz każdy w inne kraje,
Lecz każdy w inną stronę.





O SIOSTRO!...

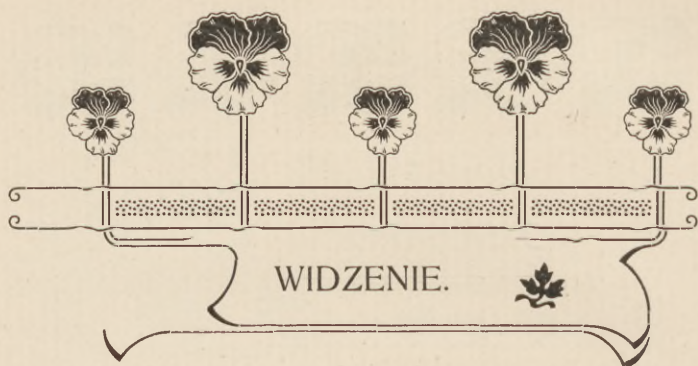


O siostrze!... siostrze!... Gdy cichą godziną
Sny z mojej duszy chmurą widm wypłyną,
Turkusy skrzydeł pod gwiazdy rozpostrą,
Lecąc ku miłym polom... Siostrze!... siostrze!...

Lecą nad stary ogród i trzepocą
Pióra pieszczone aksamitną nocą,
Nocą, co znała je młodzieńczą zgrają —
I nie chcą wracać, śmieją się i łkają.

Nie chcą powracać do ciemnicy swojej,
Gdzie im na straży mara Jutra stoi,
Z żrenicą dziwnie stanowczą i ostrą,
Z zaciśniętymi usty... Siostrze!... Siostrze!...





Cisza bezmierna! Z dalekiej toni,
Nad żytnie łany,
Jak senna wizya poety-mistrza,
Idzie z gwiazd glorią na białej skroni
W przestwór nieznanym
Postać najczystsza.

Na piersi białe złożyła ręce,
I jak woń kwiatu
Pieściwa, sennej ziemi się jawi;
Z lic Jej wzruszenie bije dziewczęce,
I szeptem światu
Wkrąg błogosławi.

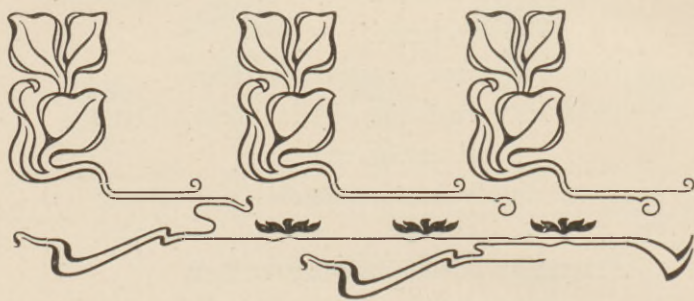
Idzie nad cichą, ziemską otchłanią
Niepokalana,
A zioła, kwiaty, ptaki i drzewa —
Wszystko z zachwytem spogląda na Nią,
I na kolana
Upadłszy, śpiewa.

Brzmi hymn podniosły. Ptactwo w gęstwinie
Kipi zbudzone,
Nawet poważne i smętne smreki
Drżą ze wzruszenia. Pieśń miękka płynie
W daleką stronę,
W bezkres daleki.

Przezysta postać dziewicy w bieli,
Gdyby marzenie,
Ponad pachnącem, sennem mknie polem,
A za nią cisi płyną anieli,
Jak lotne cienie,
Płyną półkolem.

Cicha i święta, nad łez padołem
Mknąc, ból łagodzi:
A nad Jej czołem przeczyście bladem,
Nad posągowem, cudnem Jej czołem,
Księżyc-czarodziej
Drży jak dyadem.





Z ZAMYŚLEŃ.



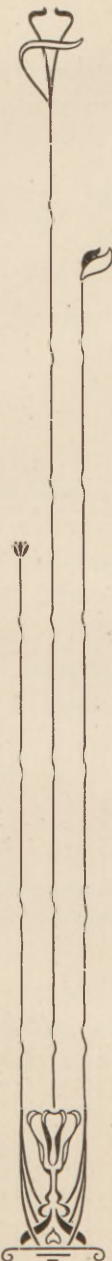
Ponad szeregi smętnych brzoź
Księżyc w swej złotej krasie
Wzeszedł i nagle w gąszczach łoż
Umilkły szepty ptasie.

I taka cisza wstała wkrąg
I takie zamyślenie,
Że nawet zasnął szmer wśród łąk
I sfer rozkoszne drzenie.

Zmęczony żarem słońca kwiat
Opuścił głowę senną —
I nagle cały, cały świat
W zadumę wpadł bezdenną.

Ścichł uroczysty leśny szum
I lekki szepł gałęzi —
Jakby zaklętych widem tłum
Drżał w mrocznej drzew uwięzi.





I tylko księżyc cichą toń
Swym blaskiem wkrąg zalewa,
A lekki wiatr upojną woń
Z pachnących łąk nawiewa.

Ach! gdyby w sercu ludzkim wstał
Po burzy huraganie
Takiej bajecznej ciszy szał
I takie zadumanie!

Czemuż na dusz zbolałych toń
Nie spływa noc kojąca,
Ni taka słodka, słodka woń,
Ni taki blask miesiąca?

A zatem cała istność wkrąg
Ma taką boską ciszę,
Co w chwilach cierpień, łez i mąk
Do snu jej żal kołysze?

I może koić każdy ból
I witać nowe zorze, —
A tylko człowiek, ten jej król,
Tej ciszy mieć nie może?

Wszak on im panem zawsze był,
Tym łąkom, ptactwu, kwiatom: —
Jest-że więc od nich mniejszy pył,
Nędzniejszy od nich atom?!





W TATRACH.



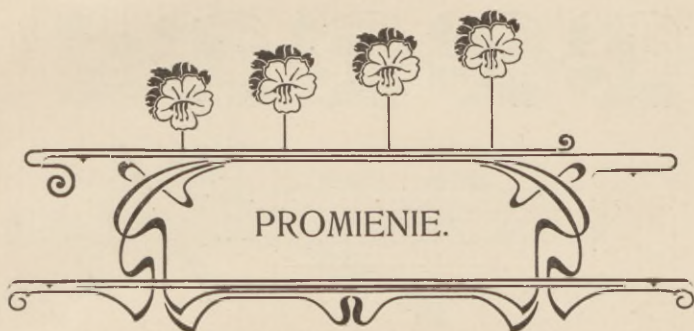
Wzięła w swą moc
Miesięczna noc
Wierzchołki gór strzeliste:
I cały świat
Z zachwytem padł
Na łono jej srebrzyste.

Na szereg limb
Padł jasny nimb,
Jak elfów rzesza złota —
I wszędy wstał
Miłosny szal,
Zaduma i tęsknota.

Od hal i łąk
Rozbrzmiały wkrąg
Rozkosznych pieśni dźwięki,
A ptaki z gniazd
Ku sferom gwiazd
Poniosły śpiew swój miękki.

Po szczytach Tatr
Przeleciał wiatr
I pognał w dal urwistą:
I przyniósł znów
Czarownych snów
I marzeń rozkosz czystą.





Na stole świeca jasnym płomieniem się pali,
W ciemne szyby kroplisty jesienny deszcz dzwoni,
Bezczynnienie siedzę z czołem opartem na dłoni,
Dźwięczna trąbka pocztarska zabrzmiała w oddali.

W jasny płomień wpatrzony, senne oczy mrużę,
Koło świecy lśni wiązka ukośnych promieni,
Na tle ciemnym szyb drżących widmowo się mieni,
Gdy ją skrócę oczyma i znowu wydłużę...

Fala wspomnień odniosła mnie w lata dziecinne,
Kiedy, w płomień wpatrzony, mrużyłem powieki,
By wywołać na jawie złudzenie niewinne...

W oczach łzy się zaszklily... Promienie tęczowe
Zalśniły, niby wizya przeszłości dalekiej...
Pochyliłem w zadumie rozmarzoną głowę...





W ZBOŻU.



W rozchwianej gęstwie żyta chabry się niebieszcą,
Gdzieniegdzie ponsowieją maków polnych kwiaty
I zawisa rój barwnych motyli skrzydlaty,
Kłosa srebrzą się w słońcu i cicho szeleszczą...

Łagodnego zefiru powiewy je pieszczą,
Chylą żyto, roznoszą kwiecistych pól wonie,
Ćwierkań, fruwań i szmerów chór tworzy harmonię,
Ciężkie kłosa zwieszono sowy plon wieszczą...

Zadzwoniły gdzieś kosy... Z miarowym rozmachem
Kilkunastu kosiarzy zbóż gęstwę podcina,
Co rozbrzmiewa szmerami, odorza zapachem...

Jak oczy modre w życie chabry się niebieszcą,
Nim ostatnia nad nimi zadzwoni godzina,
Kłosa srebrzą się w słońcu i cicho szeleszczą...





Niczego tobie dusza nie pamięta,
W sny się zasnuła, zbłąkana w pustkowiu,
Pod niebem głuchem, jak tarcza z ołowiu,
We własną mękę jak w płomień zamknięta.

Już jej tęsknota nigdy nie opęta
Mieć ciebie jasną na złotem wezglowiu,
W skrach gwiazdnych drżącą — jak fala w sitowiu,
Gdy zalsni, we śnie wichrem ogarnięta.

A cierpię, że się bez ciebie nie może
Rozpętać dusza jak ogień skrzydlaty,
Każdej swej myśli przelśnić w cud i w zorzę —

Cierpię i pytam, patrząc nieprzytomnie
Na ciemne morze, idące w zaświaty:
Czy łódź nadpływa — i czy płynie po mnie?





W BŁĘKITNYCH
ZMIERZCHACH.



W błękitnych zmierzchach zginę widmem zwiewnem
Z gasnącym blaskiem miesięcznej pozłoty —
Ust się stęsknionych stanę słowem rzewnem
I pocałunkiem ostatniej pieszczoty —

I szumem borów gorejących łkaniem,
I krzykiem ptaka, co się ranny waży,
I zórz złowróźbnem przed bitwą świtaniem.

Będę tęsknotą bezbrzeżnej równiny
I opuszczonych urokiem cmentarzy,
I upojeniem przepastnej głębiny.

Przebrzmiałej pieśni będę echem śpiewnem,
Rosą, co wilży grobnych bluszczów sploty —
W błękitnych zmierzchach zginę widmem zwiewnem
Z gasnącym blaskiem miesięcznej pozłoty.





ROZKOSZ.



Promienne w swej piękności, nagie, drżące ciała,
Oplecione namiętym, lubieżnym uściskiem,
Tarzają się wśród ciszy, co dźwięczy i pała
W upojeniu bezkresnem, znicestwienia blizkiem.

Dusze jasność zatapia jakaś krwawo-biała,
W nieskończoność rozlana świetlanem koliskiem,
Którą zmąca szal nagle, jak piorunna strzała,
W cienie nocy lecąca złotawym pociskiem.

Upaja krągłość piersi, biodr różowa białość,
Włosów woń, przegięć urok, kształtów doskonałość,
Rozkosz, co usta pali i oczy przymyka —

I omdłałość opada na piersi i łona —
Rozkosz zwolna przygasa, rozwiewa się, kona,
Jak milknąca w oddali lubieżna muzyka.

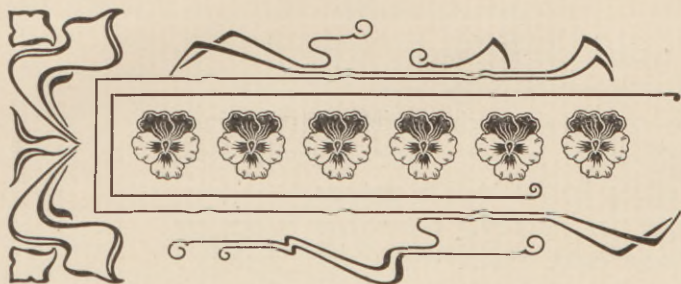



 SKRZYDLATE OGNIE.

Tak martwo szklą się czarne wody rzeki
 W mętnej, przyćmionej, miesięcznej przezroczy—
 Jakby przed chwilą zagasły na wieki
 Twe oczy, wczoraj całowane oczy.

Tak głucho huczy w mrokach dzwon daleki,
 Dał taka zimna, ołowiana, pusta—
 Jakby przed chwilą zastygły na wieki
 Twe usta, wczoraj całowane usta.





BOLESŁAW ŚMIAŁY.

(URYWEK).



I.

Siedziałem — gdy to okropne zjawisko,
 Przed którym wszyscy przysłonili oczy,
 Wchodziło, — biskup, — ludu zbiegowisko; —
 Ciżba wylękała ich ku drzwiom się tłoczy, —
 Ja patrzę, — bo już miałem to przewisko
 Śmiały, — gdy cała ta procesya kroczy...
 Lecz po cóż niosą chorągiew Anioła...
 Jakby na walkę Piekła i Kościoła...

II.

Pochylały się chorągwie z łomotem
 U wrót, nim wstały na izbie przede mną —
 A chyląc się, mierzały we mnie grotem
 Krzyżów, — iż trwogę uczułem tajemną,
 Gdy się Archanioł rozwijał ze złotem,
 W perłach, z tą twarzą malowaną ciemno,
 A skrzydła w ponsach i mieczysko kręte,
 Weń łyskawice gromowe zakłęte.

III.

I zaciemniała się zwolna komora;
 Wnosiły mrok i noc te chusty boże,
 Po siwych ścianach pobielanych dwora
 Szły cienie jakichś postaci potworze;
 Lud na kolana rzuciła pokora,
 A w tym ponurym pomroków wieczorze
 Zorze świec twarze rozświecały mnisze, —
 Nad nimi dymne smugi śpiew kołyszle!

IV.

Nikt nie śmiał oczu podnieść — wszyscy w lęku:
 I ten korowód mnichów, co przykłęka
 Z zapalonemi gromnicami w ręku,
 I dzwony, śpiewem głuszone bez dźwięku,
 I lud, któremu z żalu serce pęka;
 A wszyscy kłątwie rzekli: „niech się stanie!”
 I potępiali moje królowanie.

V.

Byłbym się zerwał i rozniósł na mieczach
 Świece, ornaty, chorągwie, kropidła
 I rzeźbym sprawił im na martwych rzeczach
 Bez ducha, gdy mam duchem silne skrzydła,
 Że nie na jeden dzień mam państwo w pieczach, —
 Już ta z biskupem kłótnia mi obrzydła . . .
 — Gdym się w tył zachnął i zawadził słupa,
 Korona moja spadła przed biskupa.

VI.

Oni to mieli za znak, czy za czary —
 I grozą zdjęci, klękli przed widziadłem —
 I że początek już znaczy się kary,
 Że w tej koronie spadłej ja upadłem,

Że dla mnie z grobów wychodziły mary,
 Przed których trupim widokiem pobladłem, —
 Tak w ich przesądnych oczach coś się stało,
 Co potępiło mnie i druzgotało.

VII.

A oni, — jakby w obłędzie, skazańce,
 Za biskupiej ręki skinieniem,
 Bo drżeli, jak wojenne liche brańce,
 Śpiewy żałosnem mieszając jęczeniem,
 Ciskali o podłogi ziem kagańce
 I przerażeni sami tem zdarzeniem,
 Obłądne mieli oczy, dech zaparty, —
 — Biskupie! — więc to Boży sąd otwarty!?

VIII.

Co miały znaczyć łamane gromnice —
 Nie wiem, — lecz straszne było to rzucanie,
 I wstręt mnie do nich brał i błyskawice
 Gniewu, — że ledwom nalazł hamowanie,
 By nie cisnąć w biskupa twarz mej rękawice
 Żelaznej — za to księżę wyklinanie; — —
 Poszli — ostałem sam w tronowej sali;
 Wnętrz piersi mściwa złość wre, gorze, pali . . .

IX.

Ostałem sam i patrzę — sala mroczna
 I te leżące na deskach okruchy
 Wosku i duszność kadzideł powłoczna
 W smugach, — że jakieś wijące się duchy; —
 Ja sam, — że tak mnie opuścili do czna
 Wszyscy. — Za dworem świszczą zawieruchy, —
 Brząkają w łuski rybie u okienic,
 Miecą gałęźmi drzew na płatwy ścienic.

X.

A tam, pod stosem świec pogruchotanych,
Których trzask, łomot, wciąż trwa i przeraża —
Korona, — na głos tych klątew śpiewanych...
Korona! którą wziąłem u ołtarza!
W której zakułem pierścień ziem wyrwanych
Memu dziadowi, ojcu! — do cmentarza
Lecąca, w jakimś rozpędzie, fatalna,
Pod stopy ducha, co klnie, — — Królo-zwalna!!

XI.

Zabić! Jak, kiedy? Gdziekolwiek! Sam skłóję!
Dworaków wezmę rycerzy i wpadnę, —
A którzy nas okrzykną: mnicho-zbóje,
Pościnam łby niechętnych i owładnę, —
Niech wiedzą o mnie, że król, że panuję; —
Tej chwili moich przybocznych zagadnę, —
Po co?! — Rozkażę! Muszą! Krew! Krwi wołam!
Księżu! Nad moim mieczem świece połam!





W łożowanej przestrzeni na rdzawym chmur stoku
Siadł bóg ogromny wichru — możny, nieruchomy —
Orły zakuł w łańcuchy i przywarł do boku,
Wichru bóg ten, co świata owładnął ogromy . . .

Ziemie legły mu korne — aż jak grom uderzy
Nagle złotych trąb granie śród zgiełku i trwogi,
Jak gdyby Pan w tysiące uderzył moździerzy!
To bóg wichru się zbudził — stanął i dmie w rogi!...

A czerwone źrenice palą mu się krwawo —
I ogromnemi skrzydły strasznie załopota — —
Chwila jeszcze — a z płuc mu w krwi dymie z kurzawą

Ostatni dech wyleci, co chmur zaprze wrota! . . .
Tak mi się nieraz marzy w moich dum požodze
Ten wichru bóg, ten sędzia w krwi łunach, jak w todze!...





CICHE, MAJOWE RANO.



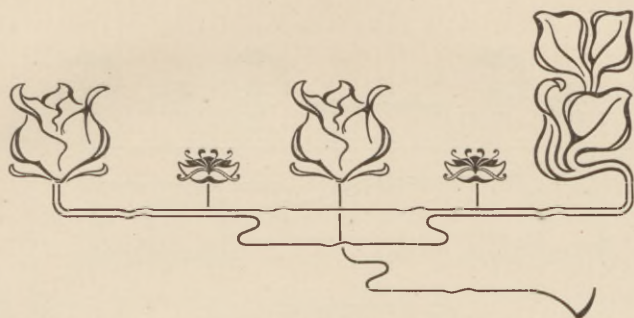
Ciche, majowe rano. W to rano, tak cudnie
Dyszące jasną ciszą błękitów otchłanną,
Idzie sznur białych dziewcząt na modlitwę ranną —
Idzie przez łąki moje, leżące odludnie...

I słyhać dzwonów granie na mszę pośród błoni,
Upojną tchnącą wonią — i widać te w dali,
Jak puszyste obłoki, dziewczęta — z konwalij
Co mają białe wianki uwite u skroni...

A słońce to majowe na każdej sukience
Wiesza blaski słoneczne, ciche, rozłożone...
Idzie sznur białych dziewcząt... A ja duszą chłonę

Sny owe, widma białe, co idą otchłanną
Błękitów jasną ciszą, wzięwszy się za ręce — —
Idzie sznur białych dziewcząt na modlitwę ranną...





KIEDY PRZYJDZIESZ?...



Kiedy przyjdiesz? Ja słyszę w ciemnym przeczuć borze
Szmer twych kroków... zielenią więc progi owiję,
A dusza, jako owiec stado białoszyje,
U cysterny pragnienia czeka Cię w pokorze...

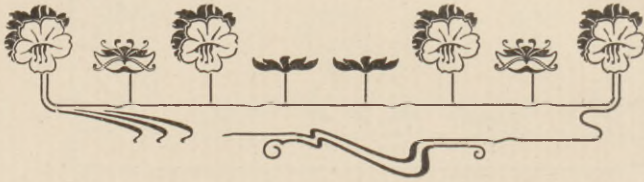
Wciąż czekam... pływach piasków śledząc martwe
[morze —

I nie wiem, czy od spieki dziś Cię namiot kryje,
Czy dłoń czyja twe stopy pielgrzymie obmyje —
I nie wiem, kędy jesteś — i dziwnie się trwożę.

I nie wiem, kiedy przyjdiesz. Tęsknotą strawiona
Moja dusza Cię woła pieściwymi dźwięki, —
Bo jak owoc już dojrzał mych bioder kształt miękki

I wonniejszą od kwiatu jest biel mego łona...
Ale przychodź! O! przychodź, bo z tęsknoty skona
Moja dusza, jak lutnia tobą rozdźwięczona!





SWIĘTE.



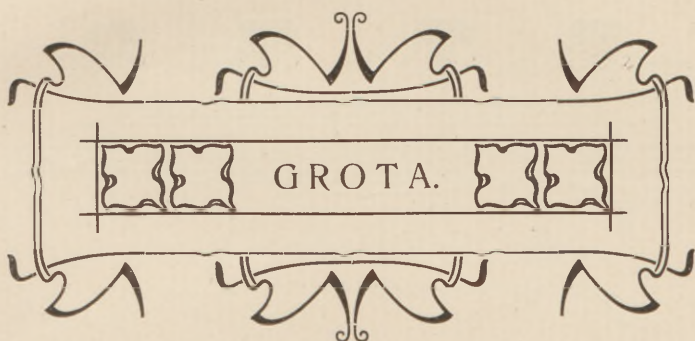
I powstały, jak świetlne wstają meteory,
Z łun pożarnych poczęte i krwawej topieli,
Drogę z tronów krwią znacząc aż do mniszych celi,
Jak rannych sznur gołębic, lecących w przestwory.

I wonieje Chrystusów ogród różnowzory —
Blade kwiaty, podjęte z śmiertelnej pościeli,
Cudnych twarzy różaniec opłatkowej bieli,
Słodkimi wonnościami zbyt pełne amfory.

I po rajskich kobiercach, po niebieskim łanie,
Błądzą dziewy męczenne i koronne panie —
Te wszystkie, co obliczem zwrócone od ziemi

W snach widziały aniołów z skrzydłami białymi,
I wierne wciąż czekały w płomiennej tęsknocie
Oblubieńca swojego w purpurze i złocie.





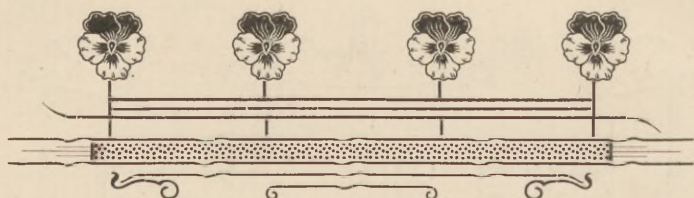
Z sklepienia — w fantastyczne pozwijany sploty —
Zwisa las długi, gęsty, lśniących stalaktytów.
Krople sączą się cicho ze ścian i ze szczytów,
Tajemnym szmerem wewnątrz napełniając groty.

Szczeliną skalną wpada promień słońca złoty,
Niosąc z sobą łagodne oddechy błękitów.
W kraju wizyj i czarów, tajemniczych mytów,
Błąka się moja dusza i płacze z tęsknoty.

A lży ze ścian dużemi kroplami się sączą,
Skrząc się w blaskach tęczowych od promieni słońca.
Z łez rosną stalaktyty, zlewają się, łączą —

I znowu las powstaje bez końca, bez końca...
W jego głębiach milczące snują się rozpacz — —
Czy to grota tajemna, czy ma dusza płacze?





L A S.



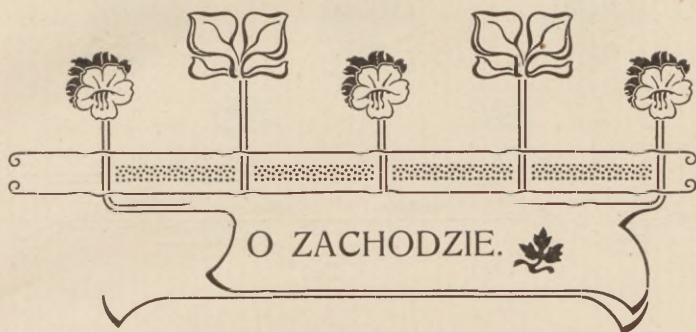
Noc jasna, gwieźdnem migotaniem gwaźna
I przesycona jutrzni światłem białym.
Las cielskiem swoim, szarem, skamieniałem,
Wrósł w blade niebo, niby chmura czarna.

Wtem drgnęły drzewa, dziwną zdjęte trwogą . . .
Wiatr, co w gałęziach nieruchomie zwiśał,
Wstrząśał się, rozbudził, rozgrał, rozkołysał
I zaczął szumieć posepnie, złowrogo.

Hej! jak konary tłuką się i skrzypią,
Jak szemrze liści rozszalałe morze! —
Jakieś się licho rozhukało w borze,
A liście z wiatrem sypią się i sypią.

I znowu cicho . . . tajemniczą burzą
Zbudzone gwiazdy złote oczy mrużą.





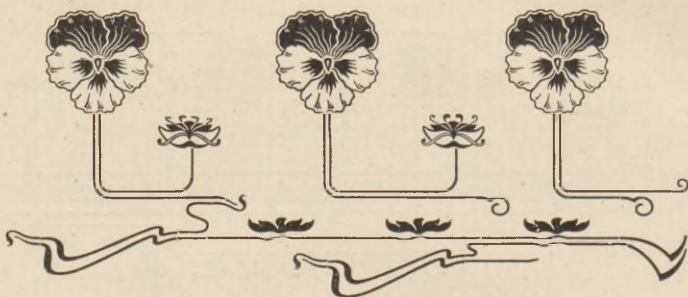
Odpywa słońca łódź na miękkiej fali chmur,
 Z wilgotnych ziemi ust błękitne płyną wonie;
 Szklany jeziora krąg uśmiecha się i płonie;
 Ukrytych w sosnach nimf cichy zawodzi chór.

Uspokojenia duch na lasy, góry, tonie,
 Lekką wyciąga dłoń. Żywiołów milknie spór.
 I we mnie milknie coś, z natury biorąc wzór.
 Szukam modlitwy słów; pokorne składam dłonie.

I jak płoszony ptak w nieznannej okolicy,
 Dusza ogląda się, szukając bożych dróg.
 Bierze ją dziw i lęk i cisza gołębic —

I szepce mimochcąc: „Ojcze Nasz, we wszechświecie
 Skryty! Świątyni Twej dalekiej przybliź próg,
 Daj żywym życia moc, daj piękny sen poecie!”





WIECZÓR LETNI.

URYWEK.



Patrz! Umierają archanioły nocy;
Purpurą skrzydeł na zachodzie grają;
W seledyn nieba osnute na poły,
W puchu przeciwnych chmur rumieńcem drgają.
Słupami ognia senne pałac niwy,
Zdają się śpiewać hymn konania — żywy!

Patrz! Zmartwychwstają archanioły nocy.
Na wschodzie lotne rozbiły namioty,
Czarownej pełne snów powiewnych mocy,
Kędziorów ciemne rozczesują sploty,
Z czar bursztynowych rosę sączą wonną,
Jakby za słońce ofiarę przedzgonną.

Cicho... W różanym wieńcu ziemia leży
I w mgieł welonie, jak oblubienica.
Chłód ją ogarnia wonny. Mrok się szerzy.
Niedługo pusta będzie dnia kaplica.
Mdleją tytany światła; nad otchłania
Wisząc, gasnącem okiem patrzą na nią,

Aż krwawą tarczą osłoniwszy skronie,
 Toną... Już znikły... Rumieni się jeszcze
 Zachodu brama, a ta martwo płonie.
 Tak duch, przeczucia karmiący złowieszczce,
 Choć się na chwilę opioruni — chłodny,
 Aż się wypełni czas, łez ludzkich głodny.

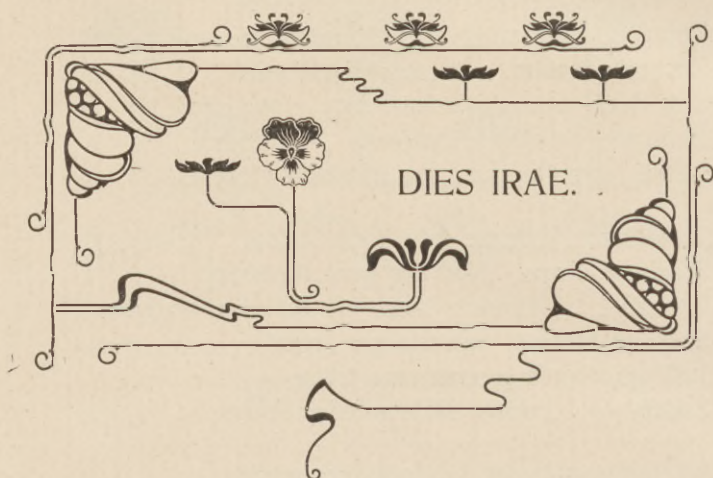
W płowem jeziorze żyta tonie cicha
 Ścieżyna nasza. Nad nią gną się kłosa.
 Posnęły... Czasem kłos, jak dziecko, wzdycha,
 Szepcząc blademi usteczkami: „rosy!”
 Jeśli go dłonią nieopatrzoną trącę,
 Zadrży — i znowu staje między śpiące.

W ciemno-zielony liści płaszcz powity
 Las się zadumał i w półświatle tonie.
 Ani wiatr w dumne śmie go trącić szczyty,
 Ani w głębokiem ptak się ozwie łonie!...
 Spoważniał... Szumów miękkich zamknął krater
 I jest jak w siebie wpatrzony bohater.

Cichego tronu zadumy mu strzeże
 Brzóz łańcuch, białych kapłanek tęsknicy,
 Każda na łono włos puszczone bierze,
 Stopy w łubinu namaszcza wonnicy
 I czeka, ledwo tchnąc, przejrzysta cała —
 I ciepło idzie z dziewiczego ciała.

A tam daleko na łąk aksamicie,
 Na wiecznie smutnych ugorów pustkowiu —
 Czysto, pół-sennie... Choć w dziewanny kicie,
 Choć w dzikiej róży nadścieżnem pąkowiu
 Nić się z wrzeciona słonecznego zbłąka —
 Drzemie dziewanna, ugór, róża, łąka...





I.

Czas stanął. Śmierć skończyła już dzieło zniszczenia,
I otarłszy krew skrzeplą z swej paszczęki wilczą,
Nad zgliszczami i gruzem usiadła i milczy —
Po raz pierwszy beczynna od świata stworzenia.

Chmury czarne, nad ziemią zawieszone nisko,
Wpółzgasłego już słońca blask miedziano-rdzawy
Ocierwienia brzegami. Wokół trupów ławy,
Pustość straszna, bezdrzewna i krwawe bagnisko.

Morza — sine, potworne, uśpione olbrzymy —
Odbijają w swej głębi w krew ubrane chmury
I ostatnich zgliszcz wolno pełzające dymy.

Śmierć zwycięzka, zdziwiona, że już nic nie żyje,
Przestraszona swem dziełem — schowała pazury,
Wzniosła w niebo paszczękę i jak szakal wyje.





II.

A wtem nagle okropna błyskawica złota,
Jak miecz lśniący, rozcięła na krzyż chmur oponę
I stanęła tak, trwając — a iskry czerwone
Szły z niej zwolna: straszliwe gromnice żywota.

I wraz drgnęły posady świata. Głos straszliwy
Trąb jakoby tysiąca zmaćił martwą głuszę
I pod niebem poczęty leciał w zawierusze
Ponad morza zastygłe i jałowe niwy.

I z łoskotem się jęła twarda padać skała,
A ziemia się poryła wraz w głębokie skiby,
Wyrzygując z wnętrzości dawno zmarłe ciała.

Morze też oddawało swoich gniewów łupy:
Rozkołysane wichrem trąb niebieskich, niby
Pianę marną miotало — skacząc na brzeg — trupy.





III.

A trup każdy, zbudzony trąb miedzianych grzmotem,
Powstawał i leniwie członki swe prostował —
I przez gruzy skał, góry leżące na pował,
Szedł, gdzie niebo płonęło straszne krzyża złotem.

Rzeka trupów bezbrzeżna grzmiała! A wciąż świeże
Tłumy zewsząd spływały, rosnąc co godzina,
Aż łąd się cały pokrył mrowiem Tak lawina
Właśnie z gór lecąc, śniegi w siebie nowe bierze,

Aż się zwali w dolinę i pokryje łąny
Zimnym śmierci całunem... Ostatnie już dreszcze
Wstrząsły ziemią — ocean cichnął wyczerpany,

Wszystkie kości oddawszy wzburzonemi wały —
I tłum stanął w pochodzie. Wtem światło złowieszcze
Krwawiej wkrąg się zażęgło — trąby grzmieć przestały.





IV.

I bezdenne milczenie zaległo na ziemi,
Zrytej czaszek lemieszem. Czerń nieprzeliczona
Stała niema, posępna, w łunę zapatrzona,
Sina śmiercią i krwawa skrami nieb złotemi.

Wtedy z niebios otchłani i z szkarłatów łuny —
Jak słońc milion światlista, a jak wszechświat duża,
Postać Boga wyblęśła, jak płomienna burza,
W gloryi ognia i w skrzepłe ubrana pioruny.

Za nią — w głębi płomiennej otwartego nieba —
Archanioły, serafów ćma, cherubów roty,
Kwiatów grad, jakich ziemską nie wydała gleba,

Harfy, palmy i miecze — bez końca, bez końca —
Gwiazd ulewa rześista, deszcz motyli złoty,
Orgia świateł, błyskawic — tęcze, zorze, słońca...





V.

Czernią ludzką olśnioną pochyliła trwoga,
Jako trzcina wiatr chyli. W martwej, strasznej głuszy
Stała drżąca, z śladami przebytych katuszy
Życia, przed majestatem swego sędzi — Boga.

On — na czterech skrzydlatych cherubinach wsparty —
Skinął dłonią: trąb krótki, grzmiący ryk urwany;
Ziemi dreszcz — i znów cisza... Archanioł świetlany
Na przód z mieczem płomiennym wyszedł: Sąd otwarty!...

Grozą zbledli ci, co się śmierci już nie bali —
I szmer, tysiące lat gdzieś w grobach śpiący na dnie,
Zbudzony teraz wzrastał, jak szum morskiej fali,

Coraz szerszy, aż tłum, co przed chwilą się korzył,
Ryknął nagle, jak morze, gdy nań orkan padnie,
Skargą straszną: O, Panie! po coś nas Ty stworzył!?





VI.

Panie! oto w boleściach nas rodziły matki
I płacz pierwszym był głosem naszym na tej ziemi!
Jak pielgrzymi nieszczęścia szliśmy ślepi, niemi,
Ku śmierci, co nas wiodła w mrok wiecznej zagadki.

Lęk i słabość nam dając w złą drogę za stróże,
Niewidome-ś nas puścił na kręte manowce —
I wilkami-ś obsaczył nas, bezbronne owce —
I zawiesił nad nami swego gniewu burzę!

Strach był naszej tułaczki towarzyszem wiernym,
A cierniami się stopom naszym słała droga —
Więc błędziliśmy w cierniach i w strachu niezmiernym!

Tyś przepaście skróś ścieżki przed nami otworzył,
A gdy drżąca się spełzła ku otchłani noga,
Na upadłe Tyś w gromach się miotał i srożył!





VII.

Ty dziękować nam każesz za łaskę żywota,
Co nazywa się: walka, upadek, cierpienie? —
Zaliśmy Cię prosili o to marne tchnienie,
Które śmierci brutalnie w nas zdławiły wrota?

Dzisiaj stajem przed Tobą ze strasznym stygmatem,
Który życie, Twój dar, nam wypiekło na czole!
Trupy czarne i kości plugawe tu w dole
Stoim, ale z olbrzymim bólu majestatem!

Bośmy wszystkie gorycze z Twojego kielicha
Pili, dzieci nieszczęścia, syny prochu, cieni,
Które dla swej igraszki stworzyła Twa pycha!

Oto moc Twa nad nami i niebieskie bramy!
Lecz my, bólem zuchwali, rozpaczą szaleni,
Przeciw Tobie bunt wnosim — na sąd Cię wzywamy!





VIII.

Żeś nas stworzył, a stworzył słabe i ułomne,
Żeś nam kazał żyć w strachu i żyć w poniewierce;
Żeś ból stworzył, a dał nam współczujące serce
I brzemię ponad siły dla barków ogromne;

Żeś nam szczęścia pragnienie w smętne włożył dusze,
A rozkosz każdą przeklął, uciechy zakazał;
Żeś w nas grzechu dopuścił, żądzami nas zmaszał,
A sumienie nam dając, wydał na katusze:

Z cierpień naszych, łez naszych, i bólów i trwogi,
Z chuci, błędów, upadków, i grzechów i zbrodni,
Z nieświadomości, która pętała nam nogi,

Z życia, które nam było i ciemne i krwawe,
Z wieków całych, lat długich, miesięcy, tygodni,
Dni, i godzin i sekund — Panie! zdaj nam sprawę!!





IX.

Huragan trupów szalał, wyjął. Zbladły w niebie
Grozą zdjęte anioły i cheruby złote,
Które miecze dzierżyły i wagę, by cnotę
Rzadką kłaść na nie, ceniąc, a karać w potrzebie.

Stwórca gniewem zapłonął. Wzniósł wszechwładne ramię
Ponad tłuszcza błuzniczą; jak grom w niebios stropy,
Wkoło skrzących błyskawic rozprysły się snopy:
Uderzy — na proch zetrze, unicestwi, złamie . . .

A wtem z tłumu skazanych smutna postać biała
Wyszła cicho, w skrwawionej, cierniowej koronie,
Boleść wieków — niezmierna — w jej obliczu pała,

W oczach niewysłowioną znać pokoleń mękę —
Idzie zwolna i ciężki krzyż przy ojca tronie
Składa z niemym wyrzutem . . .

Bóg opuścił rękę.



ANULOWANO

SPIS RZECZY.

Cyfry oznaczają stronicę.



- Przedmowa — 5.
ADAMOWICZ BOGUSŁAW.
Ukołysana — 9.
Nastrój — 10.
BARĄCZ STANISŁAW.
Dwie azalie — 11.
O zmroku jesieni — 12.
Zaćmienie słońca podczas bo-
ju starożytnych — 13.
Pogoda — 14.
BIEDER EDMUND.
Jesienią — 15.
Sonet pastelowy — 16.
Tytany — 17.
BRZOZOWSKI STANISŁAW.
* * * — 18.
Nieszporne dzwony — 19.
DĘBICKI ZDZISŁAW.
Nox vadit — 20.
Anima vagans — 25.
GLIŃSKI MIECZYŚLAW.
Pod wrażeniem ciszy cmen-
tarnej — 30.
GRONKIEWICZ KAZIMIERZ.
Morze — 35.
GROSEK MARYA.
Morze i niebo — 32.
IDZIKOWSKI ZYGMUNT.
Umaili mi ją ślicznie... — 36.
JEDLICZ JÓZEF.
Evoe vita!... — 37.
Sny — 38.
Baśń okien — 39.
KAROLI WŁADYSŁAW.
Na lagunach — 42.
Ślub — 43.
Wenecya — 44.
KOŃCZYC TADEUSZ.
Sonety — 45.
KOSIAKIEWICZ WINCENTY.
* * * — 47.
Astarte — 47.
Colombina — 48.
Miłość — 49.
LESZCZYŃSKI EDWARD.
Melodya zmierzchu — 50.
Madonno! — 51.
Twórca — 52.
Dies irae — 53.
LEŚMIAN BOLESŁAW.
Ogród zaklęty — 54.
LILIANA.
Kładł się złoty promień słoń-
ca... — 57.
MICIŃSKI TADEUSZ.
Ananke — 58.
Palmy — 59.
MORI JAN.
Niosę Ci duszę!... — 60.
OCHENKOWSKI HENRYK.
Spokój — 62.
ORKAN WŁADYSŁAW.
Z tej smutnej ziemi — 64
ORWICZ JERZY.
Trzy sztandary — 68.
Z kart życia — 69.

- OSTROWSKA BRONISŁAWA.
 Po kwiatach — 71.
 Jaskółka — 72.
 Nokturn — 73.
 Światy — 74.
 Królewicz Maj — 75
 Łzy — 76.
- PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ.
 Wizya — 77.
 Anioł Pański — 78.
 Plein-air — 79.
 Uajali — 80.
- PIETRZYCKI JAN.
 Cień — 82.
 Upojenie . . . — 83.
 Poranek — 83.
 Wieczór — 84.
- RÓŻYCKI ZYGMUNT.
 Ranek — 85.
 Południe — 86
- RYDEL LUCYAN.
 Psyche — 87.
 Skrzypce — 88.
 Hania — 89.
- RYGIER HENRYK.
 Prawda — 94.
 Vox aeternitatis — 95.
 Wiesz, kwiaty pachną . . . 97.
 W Arkadyi — 98.
- SŁOŃSKI EDWARD.
 O świetle — 103
 Byliśmy sami — 104.
- STAFF LEOPOLD.
 Sen nieurodzony — 105.
 Rzeźbiarz — 106.
 Poczucie pełni — 107.
 Sen o morzu — 108
 Dziwaczny tum — 109.
 Chwila — 110.
 Sumienie — 111.
 Przychodzi do mnie nocą — 112.
 Śnieg — 113.
- STERLING WŁADYSŁAW.
 Cisza wieczorna (Do stawu
 Smreczyńskiego) — 115.
- SZCZEPAŃSKI LUDWIK.
 Znużenie — 117.
 Z cyklu „Lunatica” — 118.
- TATARKIEWICZ MARYAN.
 Odwieczna piosnka — 119.
- W. MARYLA.
 Skarbiec — 121.
- WIKSZEMSKI MAMERT.
 Opętała szal . . — 122.
 O siostrze! . . . — 123.
- WIŚNIEWSKI JÓZEF.
 Widzenie — 124.
 Z zamyśleń — 126.
 W Tatrach — 128.
- WOLSKI WACŁAW.
 Promienie — 129.
 W zbożu — 130.
- WYRZYKOWSKI STANISŁAW.
 List — 131.
 W błękitnych zmierzchach 132.
 Rozkosz — 133.
 Skrzydlate ognie — 134.
- WYSPIAŃSKI STANISŁAW.
 Bolesław Śmiały (Urywek) 135.
- ZALEWSKI WŁADYSŁAW.
 Bóg wichru — 139.
 Ciche, majowe rano — 140
- ZAWISTOWSKA KAZIMIERA.
 Kiedy przyjdiesz? . . . — 141
 Święte — 142.
- ZBIERZCHOWSKI HENRYK.
 Grota — 143.
 Las — 144.
- ZBROWSKI MARYAN.
 O zachodzie — 145.
 Wieczór letni (Urywek) — 146.
- ŻUŁAWSKI JERZY.
 Dies irae — 148.



60. —
2736/10/24

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0460239

CIM ✓

22764